

Szara dola



ELIZA ORZESZKOWA

Szara dola

Z OPOWIADAŃ PRAWNIKA

Ilekróć pamięcią przenoszę się w najodleglejsze lata dzieciństwa mego, przed oczyma memi, wśród najdroższych mi i najpiękniejszych wspomnień i obrazów, migoce zawsze białe, szerokie, tu i ówdzie zielenią porosły szlak drogi pocztowej. Jak inni rodzą się nad brzegami rzeki jakiegós, tak ja urodziłem się nad brzegiem téj drogi. Biegła ona wzdłuż wielkiego cieniatego ogrodu, zdobiącego dwór wiejski rodziców moich, po obu stronach jój rosły gęsto sadzone i bardzo już stare, więc wysokie i rozłożyste, brzozy, jarzębiny, klony i balsamiczne topole, a za drzewami żółciały pola, równe, rozległe, i perliły się wilgocią niskie łąki, których wiecznie omglone skraje spływały z dalekim borem, kreślącym pod samém już niebem wielkie, siniejące półkole.

Drzewa przydrożne były wysokie i rozłożyste, ale droga była tak szeroką, że wierzchołki ich nie stykały się ze sobą wcale; owszem, pomiędzy niemi wysoko biegła wielka wstęga nieba, jakoby druga droga zwieszona nad tą, która sunęła po ziemi. W dniach pogody wstęga ta, ujęta w ramy gęstych, zielonych gałęzi, błękitną była i usianą ognistemi iskrami. Niekiedy żeglowały po niej szybko gromady białych puszystych obłoków; niekiedy téż, w niepogodę, stawała się ona szarą i wyrzeźbioną w ciemne garby i wgłębienia chmur wielkich a leniwych; nocami zaś, oddalona zda się w niedościgle okiem wysokości, stroiła się w gwiazdy, lub czarna, posępna, niema, wyglądała jak wejście do zwróconej otworem ku ziemi niezgłębionej otchłani. Po jednéj stronie, daleko, pod samym już skrajem widnokręgu, wznosiły się codziennie o zachodzie słońca zamki ogniste. Wierzchołki ich, umalowane purpurą i fioletem, rzucały na drogę luno różowe, a złote podnóża rozlewały po polu morze blasków, które objęły się o stopy drzew przydrożnych i na każdém ich liściu składało iskrę. Północna zato strona drogi stanowiła z zachodnią sprzeciwieństwo zupełne. Tam, w najpogodniejsze nawet wieczory letnie, mglisto było i posępnie; pomiędzy dwoma rzędami drzew zwisał szmat nieba, głęboki a bezpromienny, niby zasłona, okrywająca daleką jakąś a tajemniczą krainę smutku, cieniów i milczenia.

Piękna droga ta, poważna i milcząca niekiedy, bywała téż często ożywioną wielce i ludną. W porze bowiem, w której koleje żelazne nie istniały jeszcze w kraju naszym, stanowiła ona główną arterią komunikacyjną, przerywaną wśród pól, wzgórz, lasów, miast i wiosek łono kilkuset milowej przestrzeni, i dwoma końcami swemi dotykającą dwóch stolic. W dzień téż, czy w nocy, nie było prawie godziny jednéj, w której-by nie rozlegały się wśród niej dzwonki pocztowe, turkoty kół, rzenie koni i gwary głosów ludzkich.

Było tam tedy miejsce pewne, tuż naprzeciw ogrodu naszego położone, gdzie rozstępowaly się, gęsto gdzieindziej rosnące, drzewa przydrożne, a wśród dość znacznej, wolnej od nich przestrzeni, wznosiła się stacya pocztowa.

Był to dom niewielki, śnieżysto biały, z gontowym dachem, z kilku dużemi widnemi oknami, z gankiem, wspartym na czterech słupach i z dwóch stron ocienionym kratą zieloną, po której wiły się białe i liliowo kwitnące powoje. Niskie zielone sztachety, za którymi wzrastały grube krzaki bzów, róż i jaśminów, oddzielały dom ten od drogi, po drugiej zaś stronie jego znajdowało się wielkie podwórze, otoczone stajniami i wozowniami, a z jednéj strony dotykające dość obszernego ogrodu, który był na-pół warzywnym, na-pół owocowym. Dalej, o paręset kroków od pocztowego budynku, ogródkami otoczone stały nad brzegiem drogi domki pocztylionów i rzemieślników różnych; w cieniu kilku grusz dzikich, nigdy niegasnącemi, czerwonymi połyski błyskała kuźnia; za kuź-

nią zaś szklila się, głębokim rowem z drogą rozdzielona, duża sadzawka, na której nieruchomą powierzchnią, wypływały rozstrzępione kielichy i długie, wąskie liście roślin wodnych, a u której brzegów siadywały żony pocztynionów i rzemieślników, pralnikami głośno o toń spokojną bijąc, dzieci czepiały się po kalinowych krzakach, a smutne brzozy płaczącymi gałęzmi muskały wilgotną murawę.

Wszystko to razem stanowiło rodzaj osady, porządnie zabudowanej, ludnej, czynnej i ruchu pełnej. Ale za sadzawką z jednej strony, a ostatnim domkiem z drugiej, rozpoczynały się znowu dwa gęste, wysokie szeregi brzozy, klonów i topoli, a wśród nich biała droga, samotna już znowu, poważna i cicha, sunęła dalej ku tej stronie północnej, gdzie nie strzelał nigdy promień żaden, a niebo spływało ku ziemi, ciężkie, szare, smutne.

Owóż, z obrazem pocztowej stacyi i wszystkiego, co ją otaczało, w pamięci mojej wiąże się ściśle wspomnienie człowieka, który, gdy tylko wśród drogi zajęczał dzwonek i zaturkotały koła, zjawiał się na ganku białego domku, w mundur z błyszczącymi guzami urzędowo opięty i całą postać swą do urzędowej sztywności i powagi nastrajający widocznie, ale zawsze bez powodzenia najmniejszego.

Był to nadzorca stacyi — Piotr Żminda.

Odkąd zapamiętać mogłem samego siebie, pamiętałem też i Piotra Żmindę; objął on bowiem stanowisko swoje nieco przed moim przyjściem na świat, a gdy miałem czternaście lat wieku i bawiłem się raz w pocztowym ogródku z młodszą o wiele córką Żmindy, Salusią, słyszałem, jak mówił on raz do żony rymarza, agrest z krzaków obierającą:

— Ot, czy wie pani Jerzowa, że dziś to już wypada piętnastoletnia rocznica przyjazdu mego tutaj!

Na co pani Jerzowa, podnosząc z nad agrestów twarz puciołowatą i uśmiechniętą, odparła z ogromnym zdziwieniem:

— Być nie może! a ot zdaje się, jakby to wczoraj było!

Potém zaś dodała.

— Daj Boże drugich piętnastu razem doczekać!

— Daj Boże! — zwykłym sobie, powolnym sposobem, odpowiedział Żminda; począł zaraz, odrywając wzrok od wielkiej georginii, którą lubując się widocznie, z nadzwyczajną starannością podpierał i podlewał, spojrzenie swe zatrzymał na złotowłosej główce Salusi, w tej chwili właśnie zajętej wraz ze mną okładaniem kamuszkami fantastycznego jakiegoś klombu i, uśmiechając się, rzekł:

— Za piętnaście lat! ho, ho! moja pani Jerzowa! wiele wody przez ten czas upłynie! moja Salusia będzie już pewno zamężną!

— Pewno — potwierdziła pani Jerzowa i dodała — da Pan Bóg, że i wnuki już będą!

Na te słowa Piotr Żminda, który pod stopy georginii swych łał z konwi perlisty strumień wody, uśmiechnął się tak już widocznie i tak rozpromienionymi oczyma w przestrzeń spojrzął, że, jakkolwiek jeszcze byłem dzieckiem, pomyślałem sobie, iż musiał się czegoś bardzo ucieszyć.

— Tak, tak! pani Jerzowa — mówił dalej, nachylając się i wrywając z klombu niepotrzebną jakąś trawę — może Bóg pozwoli, że będę kiedyś dziaduniem!

Przy ostatnim wyrazie zaśmiał się głośno. Kobieta, zrywająca agrest, zawtórowała mu śmiechem i, coraz dalej zagłębiając się w kolczate krzaki, zawołała:

— Widzi mi się, że jegomość będziesz już wtedy dobrze stary!

Żminda wyprostował się.

— Stary? — powtórzył — a no, tak! za piętnaście lat będę miał coś więcej, niż sześćdziesiątkę! To i cóż? albo to taki wielki strach na starość? Kiedy człowiek uczciwie całe życie przeżył i nic złego na sumieniu nie ma, to i siądzie sobie, siwiuteńki jak gołąb, u ciepłego pieca, a córka i zięć usługiwać mu będą. Wnuków tylko na kolanach trzymaj, cacka im z drzewa strugaj i pilnuj, aby które nosa sobie gdzie nie stukło. To w zimie. A w lecie... człek sobie na słońko wylezie i, ot do tego drzewa, które sam sadił i wyhodował, stare plecy przyparłszy, pacierze za dzieci mówić będzie...

Takimi były marzenia o starości Piotra Żmindy.

Utkwiły mi w pamięci z tego głównie powodu, że gdy on wypowiadał je głośno, pani Jerzowa była już daleko, kędyś w końcu ogrodu, a Żminda zdawał się mówić do samego siebie. W tej samej jednak chwili, z dala, z dala jeszcze, odezwał się na drodze dzwonek pocztowy. Żminda z pośpiechem wielkim postawił konew na ziemi i, biegnąc ścieżką, ku

podwórzu wiodącą, zdejmować już począł szary swój płócienny, ziemią posypany, surdut. Na odgłos dzwonka zerwała się też z ziemi mała Salusia i pobiegła za ojcem. Wiadomém to bowiem było powszechnie, że ojciec i córka nie rozstawali się z sobą ani na chwilę. Jakoż gdy, w kilka minut potém, Piotr Żminda wyszedł na ganek pocztowego domu, już w mundur swój ściśle opięty i z niezmierną powagą witający wysiadającego z bryczki podróżnego jakiegos — mała Salusia stała za ojcem i w ściśniętej piątce trzymała jeden z błyszczących jego guzów. Ile razy zwrócił się w jaką stronę, dziecię, obracało się z nim razem, tak jak on powolne, prostujące się i poważne.

Powierzchność Żmindy przedstawiała szczególność pewną, rzadko pomiędzy normalnie rozwiniętymi ludźmi spotykaną. Wysoki, barczysty i bardzo silny na pozór, posiadał on cerę twarzy żółtawo-błądą i chorobliwie jakby nabrzmiałą. Oczy jego, okrągłe, wypukłe, z błękitną, łagodnie patrzącą źrenicą, miały wyraz sennego jakby omdlenia, na całą fizyognomią jego rzucający cechę pewnej głupowatości. A jednak nie można było wcale nazwać go głupcem. Przeciwnie, obowiązki, do miejsca, które zajmował, przywiązane, pełnił on z wielką punktualnością a nawet pedanterią, rozmawiając zaś z ludźmi mówił powoli bardzo, z widoczném wysileniem szukał w głowie swęj myśli i wyrazów, nigdy jednak nie wypowiedział nic niedorzecznego, lecz przeciwnie wyrażał się jasno i rozsądnie. Cała zresztą postać jego miała pozór ociężały i leniwy. Patrząc na niego, można-by rzec, iż był próżniakiem i ospalcem; a przecież pracował nieustannie, to nad księgami swemi z piórem w ręku, to w ogrodzie z motyką, nożycami i konwią; wstawał ze snu przed wschodem słońca, a nocami sypiał tak czujnie, że każde odezwanie się dzwonka u pocztowego zajazdu znajdowało go obudzonym i w mundur urzędowy opiętym.

Chorobliwe to, głupowate i senne wygląkanie człowieka silnie zbudowanego, rozsądnego i pracowitego, zwracało ciekawą uwagę mego ojca, który lubił Żmindę, a jako właściciel gruntu, na którym stały budynki pocztowe, miał z nim częste i życzliwe stosunki.

Pamiętam wybornie, jak trzy razy w tygodniu, w porze, w której cała rodzina nasza zgromadzała się dokoła śniadania, Żminda z punktualnością zegarka wchodził do sali jadalnej, przynosząc ojcu memu nadeszłe pocztą listy i dzienniki. Przynoszenie to nie należało bynajmniej do obowiązków jego, lecz było tylko szczególnym ze strony jego objawem szacunku i życzliwości, dla ojca mego uczuwanęj. Już to w ogólności dla obywateli wiejskich Żminda wielkie okazywał uszanowanie. Wyraz *obywatel* posiadał w umyśle jego znaczenie idealnej jakiegos a wszechstronnej nad innymi ludźmi wyższości. Nie idzie przecież za tém, aby wobec ludzi tych, tak bardzo przez się poważanych, był on zbyt pokornym i unizonym. Owszem, barczysta i ciężka postać jego nie zginała się nigdy ukłonami niskimi, z ust poruszających się powoli nie wychodziły nigdy żadne prośby ni pochlebstwa. Miał on zawsze postawę i minę człowieka, który wobec nikogo nie poczuwa się do winy żadnej i od nikogo niczego wcale nie potrzebuje. Tylko głos jego stawał się miększym jakoś i niższym, niż zwykle, gdy rozmawiał on z *obywatelem*, a żółtawe i nabrzmiałe policzki rumieniały się lekko gniewem, ilekroć usłyszał zarzut jakiś, komukolwiek do klasy tęg należącemu, czyniony.

Owóz, razu pewnego, gdy, w dniu przybycia poczty listowęj, Żminda, jak zwykle, wszedł do naszej sali jadalnej z grubym pakietem listów i dzienników w ręku, ojciec mój, zaprosiwszy go do stołu, przy którym siedzieliśmy wszyscy, troskliwie zapytał:

— Żle mi coś dziś wyglądasz, panie Żminda? czy nie jesteś słabym?

— Dziękuję panu — odparł Żminda — ale ja zdrów jestem zupełnie, tylko przychodzą na mnie takie dni jakiegos, że w uszach mi szumi, jak we młynie, i ręce trzęsą się trochę... ale to bywa przez kilka dni tylko... później przechodzi...

— Ale od czegóż-by to było — zapytał mój ojciec.

Żminda uśmiechnął się zwykłym sobie uśmiechem, w którym obok zupełnego spokoju było jednak coś smutnego, i odpowiedział z wolna:

— Ja myślę, proszę pana, że to od tego maku...

— Jakto od maku? — zapytaliśmy chórem...

— Widzą państwo — mówił, uśmiechając się wciąż nadzorca stacyi, — bo ja, dzieckiem będąc, wiele bardzo maku jadłem.

— Ależ poco? dlaczego?

— Długa to historia.

— Opowiedz nam ją, panie Żminda — rzekł mój ojciec.

Żminda nie miał nic do odmówienia *obywatelowi*, a jeszcze takiemu, z którym, jak z ojcem moim, w bliskich był i dawnych stosunkach.

Po dość długim więc milczeniu, w czasie którego z trudnością widoczną skupiał myśli i zbierał w głowie swój wyraz, zwrócił na ojca mego spojrzenie oczu swych wypukłych, sennych trochę a bardzo łagodnych, i zaczął w ten sposób:

— Pan dobrodziej wie, że ja pochodzę z okolicy szlacheckiej Żmindów, co to o trzy wiorsty ztąd...

— Wiemy, wiemy! — odezwaliśmy się oboje z siostrą, szlachecka okolica bowiem, o której mówił Żminda, przywoływała nam na pamięć bardzo miłe wspomnienia. Mijałiśmy ją zawsze, ilekroć z rodzicami i gośćmi jechaliśmy do poblizkiego lasu na majówki i grzybobrania, a składające ją domki szlacheckie, niskie, szare, otoczone ogródkami, w których kwitły nagietki i piwonie, tkwiły nam dobrze w pamięci.

— Otóż — prawil dalej Żminda — ojciec mój, świec panie nad jego duszą, posiadał w okolicy kawał gruntu niewielki i lichej. Piaski to były... kartofle tylko i gryka dobrze na nich rosły, żyto zaś marniało, a o pszenicy to tam u nas i słyhu nigdy żadnego nie było. Wszelako, dopóki żyła matka moja, świec panie nad jęj duszą, bieda choć była, ale nie tak to bardzo wielka. Ludzie gadają, że nieboszczka moja matka doskonałą była gospodynią, ale ja o tęp ze slyszenia tylko wiem, od ludzi, bo Pan Bóg ją do chwały swojej zabrał wtedy, kiedy ja rok tylko życia miałem. Dwóch starszych braci miałem i siostrę, ale poumierali wszyscy. Po śmierci matki zostałem u ojca sam. Co tu robić mężczyźnie z takim małym dzieckiem, a i z gospodarstwem także? Pan dobrodziej wie, że w szlacheckiej zagrodzie bez gospodyni, ani rusz. Tedy — w rok niespełna po śmierci nieboszczki matki, ojciec ożenił się. Wziął sobie ekonomską córkę z Wojatycz od pana Woińskiego. Ludzie mówią, że hoża to była kobieta, pracowita i nawet edukowana trochę! Ale może i dla tęp-to edukacyi, z przeproszeniem pańskim, licha wartęj zapewne, ubogi stan szlachecki do smaku jęj nie przypadł. Okrutnie była zawsze zła. Robiłać to, robiła ona wszystko, co trzeba było, ale z wyrzekaniem, fukaniem i *złowaniem* wielkim. Mnie to tak już od razu znieawidziła. Po prawdzie tęp dziecko było ze mnie krzykliwe podobno i żywe, jak konik polny. Cały dzień bywało pelzam, albo skacząc po izbie, pod nogi ludziom wlażę i naprzykrzam się starszym ogromnie. Nocami zaś budziłem się często i krzyczałem na całą chatę, sam nie wiedząc czego, ot zwyczajnie, jak dziecko, któremu w głowie czy sercu majaczyła tęsknota jakaś za matczyną pierśią, coby go w ciemnościach nocnych ku sobie przygarnęła.

Macocha płaczów tych moich i krzyków nocnych znieść nie mogła. Mówiła, że jęj to zdrowie odbiera, choć Bogiem a prawdą, kiedy Bóg dał jęj własne dzieci, a krzykliwsze jeszcze ode mnie, nic jęj wcale wrzaski ich nie szkodziły. Owszem, im więcej krzyczało, tęp więcej je całowała i na rękach kołysała. Ale ze mną, zwyczajnie jak z pasierbem, było inaczej. Ażeby jęj nocami nie budził, dawała mi co wieczór napój jakiś, który ja chciwie piłem, bo zasłodzony był i smaczny. Czy zaś zgadnie pan dobrodziej, z czego napój ten był zrobiony? Ot dowiedziałem się późnięj już, że z maku i konopi. Bywało, jak napoi mię nim macocha, to śpię jak kamień przez noc całą, a i z rana jeszcze obudzić się nie mogę, choć w chacie ruch wielki, w piecowisku ogień trzaska, woda przy ogniu kipi, dziewczka kartofle skrobie, ojciec drzewo rąbie, a macocha wieprza karmi, zrzędzi i wykli-na. A jak bywało ocknę się już z tego snu makowego, to głowina jakby kamień ciężka i przez dzień cały nie hasam już i nie hałasuję, jak dawnięj, ale cichutko, niby trusia, siedzę pod piecem, oczy wytrzeszczając, a wszystko jak przez mgłę jakąś widząc. Było tak długo — miałem już pięć lat może, kiedy macocha, krzyku mego lękając się, ciągle mię tym sposobem do cichości przymuszała. Ale nie na tęp jeszcze koniec historyi o maku. Jadłem ci ja go jeszcze późnięj dużo, a to już z własnej niby woli — czyli raczję — z głodu. Jeść mi nie dawała. Wyjdzie bywało w pole do żniwa i dzieci swoje ze sobą zabierze, a dla nich i dla siebie garnki pełne żywności niesie. Ale mnie zostawiała w chacie bez okruszyni pożywienia jakiegokolwiek. Więc ja, w koszulkę grubą odziany, boso — do ogrodu! A w ogrodzie co? Gruszek i jablek u nas nie było, tylko wiśni moc wielka. Ale wysoko one były i prędko kończyły się. Marchew albo burak, wykopany z zagonu, rzecz to dobra, ale i kopać niebardzo miałem siłę, i bałem się okropnie, aby dziury w zagonie macocha nie zobaczyła i nie domyśliła się, jaki to kret ją wykopał. Więc ja do maku. A maku siała

ona wiele w ogrodzie i potem drogo sprzedawała. Włazę sobie tedy pomiędzy gęsty las lodyg makowych i leżę na waziutkiej miedzy godzinami całemi, a co moment makówkę dojrzałą zerwę i ziarna z niej do ust sobie wysypię. Nie wszystkie one dojrzewały od razu. Były takie, co kwitły jeszcze, wtedy gdy inne żółciały już i schły. Otóż mnie i kwiaty podobały się bardzo. Już to zawsze lubiłem kwiaty. Leżę bywało w gęstwinie i patrzę, jak przez zieloność niebo błękitne prześwieca, a na niem migają wiatrem poruszane różowe i ponsowe strzępiaste maki. Czasem, jak wiatr mocniej powieje, to który z nich się osypie i deszczem niby mięciutkich liści twarz mi zarzuci. Ja wtedy, przestawszy patrzeć na niebo i na czerwone maki, rękę wyciągam i znów makówkę zrywam. Zrywałem czasem i niedojrzałe, ale, że jeść chciałem potężnie, więc i tę białą miazgę, co to, nim ziarna zrobią się, napełnia łupinę — zjadałem...

— Ależ to szczęście prawdziwe, żeś się pan temi makówkami nie otrul — przerwał ojciec mój, którego opowiadanie Żminda na-pół śmieszyło, na-pół rozrzewniało.

— Nie przyszło jakoś do tego — odpowiedział z uśmiechem, — ale ot pewny jestem, że mi te traktamenta macoszyne na całe życie pamiątkę zostawiły. Ten szum w uszach i to drżenie rąk od najpierwszej młodości, to przychodzi mi, to przechodzi. Przytęm już i tę moją żywość dawniejszą na zawsze straciłem, i myśli w głowie rozlatują się czasem niby suche liście, tak, że nim złapię którą, to się dobrze namęczę. Ale ludzie mówią, że i tak dobrze; bo mogłem od tych makowych wieczerzy i obiadów całkiem rozum stracić. Dzięki Bogu i za to, że mi go choć tyle zostawił, iż żyć uczciwie mogę, a żonę i dziecko pracą moją wyżywić...

Rzekłszy to, Żminda, powstał i, zapiąwszy guzy mundura aż po samą szyję, oddawał ojcemu ukłon pełen uszanowania, ale tak poważny, jakby go myśl w ostatnich wyrazach zawarta napełniała uczuciem spokojnej i pewnej siebie osobistej godności.

— Dlaczego, panie Żminda, nie przyjdiesz do nas kiedy na dłużej, wieczorem może, na herbatę i parę godzin pogawędki? — uprzejmie wymówił mój ojciec.

Żminda uklonił się powtórnie, widoczne zadowolenie twarz mu rozkwieciło.

— Dziękuję, panu dobrodziejowi, z całego serca dziękuję! — odparł. — Radbym bardzo... byłby to dla mnie honor wielki... ale nie mogę. Pan dobrodziej wie... obowiązek... służba! Jak dzwonek odezwie się na gościńcu, stawać muszę do obowiązku mego, jak żołnierz do broni!

Wyrzekł to z nadzwyczajnym przejęciem się, senne oczy jego nawet błysnęły żywiej, jakby pod wpływem zapachu.

— No, powiedz mi, panie Żminda — uśmiechając się mówił mój ojciec — czy choć-by raz jeden przez te lat piętnaście nie stawiałeś się do apelu — to jest nie przywdziałeś munduru i nie wyszedłeś na spotkanie przybywającego gościa?

Żminda uczynił rękoma i ramionami poruszenie, jak na flegmatyczny i ociężały układ jego, nader żywe.

— Ani razu! — zawołał — ani razu nie zdarzyło mi się nic podobnego! było-by to z ubliżeniem dla mnie!... podróżnego spotkać... pieniądze za *probony* odebrać... w księgę zapisać, co należy, toż to obowiązek mój, z którego ja, żona moja i dziecko chleb jemy..! Był-bym, panie dobrodziej, nie przymierzając, złodziejem, gdybym chleb jadł, a obowiązku mego nie spełniał.

Po tych słowach, Żminda skłonił się raz jeszcze i stanowczo już pokój miał opuścić, gdy uchyliły się drzwi od przedpokojku i nieśmiało trochę wyjrzała przez nie głowa kobieca, młoda, ładna, strojna w czarne warkoczki i czepeczek z żółtymi wstążkami.

— Najpokorniej przepraszam łaskawych państwa — wymówiła łagodna główka ta dość dźwięcznym, trochę tylko zbyt cienkim i wypieszczonym głosikiem — po tysiąc razy przepraszam, ale przyszłam zobaczyć, czy niema tu mojej Saluni!

— Saluni powiedziałem, żeby czekała na mnie na dziedzińcu — zwracając się ku wyglądającej ze drzwi głowie kobiecej, wymówił Żminda, poczem, wyraźnie zakłopotany, postąpił ku drzwiom i ciszej, tonem nieśmiałego upomnienia, rzekł:

— Poco tu zawsze chodzisz za mną, Emilko? — uprzykrzasz się państwu...

— Ale owszem, owszem! — zawołała grzecznie moja matka — prosimy panią Żmindową, bardzo prosimy! Przyszły tu właśnie nowe dzienniki mój, może pani zechcesz popatrzeć na nie z nami!

Pani Emilia Żmindowa nie dała sobie po dwa razy powtarzać zaproszenia tego. Wbiegła do pokoju i kilku fertycznymi skokami była już przy mojej matce, nad której ramieniem pochyliła się zbyt nisko.

Nie widziałem w życiu sprzeciwieństwa większego, jak to, które zachodziło pomiędzy Piotrem Żmindą a jego żoną. Malutka, zgrabna, nadzwyczaj żywa, szeleszcząca zawsze krochmalnymi sukniami i barwnymi wstążkami czepeczka, ze ściągłą swą twarzyczką, bladawą i namiętą, z czarnym okiem, iskrzącym się i ruchliwym, Emilia Żmindowa wyglądała przy swym barczystym, ciężkim, powolnym mężu, jak motyl, fruający dokoła łopuchowego liścia, jak płomyk, wijący się i tryskający iskrami obok ciężko toczącej się i mętnej nieco wody. Mówiła wiele i prędko; śmiejąc się, ukazywała z za warg różowych dwa rzędy perłowych ząbków. Do dworu przybiegała często. Wabiły ją tutaj stroje matki mojej, którym dość napatrzeć się nigdy nie mogła i które naśladować usiłowała; dzienniki mód, które wprawiały ją w zachwyt niewymowny; najbardziej zaś może spojrzenia i ukłony młodych oficjalistów, których po drodze spotykała na dziedzińcu i u oficyn, a których holdami nie gardziła bynajmniej.

Pretextem, którym posługiwała się najczęściej, aby wejść do pokoiów dworskich, było dowiadywanie się o Salusię. Skoro jednak raz znalazła się obok mojej matki, z którą rozmowa i znajomość pochlebiały jej niezmiernie, a w dodatku ujrzała leżące na stole wzory modnych ubiorów, przestawała troszczyć się o dziecko, szczebiotała, zachwycała się i całowała bez końca ręce matki mojej, która lubiła ładną jej buzię, bawiła się nią trochę, a przez wzgląd na uczciwego jej męża, okazywała jej wiele uprzejmości.

I tym razem także pani Żmindowa, usiadłszy na brzeżku krzesła i, niby wachlarzem, chłodząc zmęczoną twarz swą cieniutką płócienną chusteczką, głośnie bardzo i nieco piskliwe wykrzyki wydawała na widok dwóch, na żurnalu wymalowanych, bombiastych i barwistych sukien.

Żminda zaś, opuściwszy się domu, spotkał się natychmiast ze swoją Salusią, która oczekiwała na niego, cichutko i nieruchomie u jednej topoli stojąc i gruby pień drzewa rączkami obejmując. Ujrawszy ojca, dziecko nie rzuciło się ku niemu w poskokach i z okrzykiem, ale podeszło do niego zwolna, milcząc, i piąsteczką za jeden z guzów mundura jego pochwywszy, szło dalej już z nim razem, z tyłu nieco trzymając się i drobnymi stopkami, ładnie obutymi, szybko po murawie dziedzińca przebierając. Za ledwie jednak para ta połowy dziedzińca dosięgnęła, gdy w oddali o pół wiorsty, a może i o wiorstę jeszcze, jęknął kędyś dzwonek pocztowy. Pod stopy Żmindy jakby kto nagle minę podłożył, tak żywo podnosić je zaczął z nad ziemi. Śpieszył, biegł, śpieszyło i biegło za nim dziecko, ale, szerokiemu krokowi jego nadażyć nie mogąc, wypuściło z rączki guzik ojcowski i stanęło, jak wryte, ust nie otwierając, tylko oba ramiona powolnym ruchem wyciągając za ojcem. Można-by rzec, iż pomimo pośpiechu, Żminda uczuł oderwanie się od niego dziecka, bo, nie przystając jednak ani na chwilę, zwrócił się, pochwyił je na ręce i, z tym ciężarem już biegnąc szybko a ciężko, zniknął wnet w wiodącej ku pocztowej stacyi ogrodowej alei.

Pani Żmindowa tymczasem nie myślała wcale o mężu i dziecku i ani słyszała dzwonka, który bardzo wyraźnie jednak dawał się słyszeć w pokoju, gdzieśmy siedzieli wszyscy.

— Ach! pani moja droga! — mówiła — splatając ogorzale lecz małe i zgrabne swe rączki — pani moja droga! jakie to wszystko ładne! jacy to szczęśliwi ludzie, którzy żyją na takim wielkim świecie i tak ładnie mieszkać i ubierać się mogą!

Myśl o wielkim świecie nasuniętą została pani Żmindowej przez wielki arkusz żurnalowy, przedstawiający salon, pefen festonów jakichś kwiatów, taburetów i balowo przystrojonych, ckliwo uśmiechających się figurek.

Matka moja, która, o ile mogła, usiłowała miarkować plochość i zalotność małej kobietki, filozoficznie odparła:

— Nie wierz w to ani trochę, moja pani Żmindowa, ażeby ludzie, żyjący na wielkim świecie, szczęśliwymi koniecznie być mieli. Ja, co znam świat ten, mogę cię upewnić, że, w wiejskiej ustroni swój i w skromnym swym bycie, jesteś bez porównania szczęśliwszą od niejednej wielkiej damy.

Czarne oczy Żmindowej zamigotały żywo. Lekki rumieniec gniewu, czy rozżalenia, oblał bladawe jej policzki.

— Pani droga! — szepnęła z westchnieniem — a gdzie to szczęście moje? Młodość całą przesiedzieć tak w kącie zapadłym i świata Bożego nie widzieć... czy to miło? A kiedy jeszcze przypomną sobie przeszłość i pomyślę, jak to u ojca mego bywało... kim byłam, a kim teraz jestem!

— Jesteś żoną rozsądnego i uczciwego człowieka, którego lubimy i szanujemy wszyscy — pochwyciła moja matka.

Coś na kształt nerwowego stłumionego śmiechu, czy łkania, wstrząsnęło szczupłą postacią kobiety. Pałające oczy jej przykryły się ciemną długą powieką.

— Uczciwy to on, pani moja... — szeptała coraz ciszej — uczciwy i dobry człek... szanuje mię... ani słowa przeciw temu rzec nie mogę... alem ja obywatelska córka, pani droga... lepsze czasy znałam... w innéj zupełnie pozycyi byłam... Przynętem... ósmnastu lat nie miałam, kiedy mię wziął, sam ich czterdzieści z czubem mając...

— Obywatelską córką jesteś, to prawda — perswadowała moja matka — ale ojciec twój nie był nigdy bogatym i teraz to już wyobrażasz sobie tylko, że tam u was takie świetności były. Folwarczek dziesięciochatowy, na którym sześcioro rodzeństwa siedzi, nie jest wcale bogactwem żadnym...

Słuchając słów tych, Żmindowa zacięła kształtne swe, blade różowe wargi. W téj chwili cała drobna twarz jej przybrała wyraz na-pół gniewnego, na-pół bolesnego rozjątrzenia. Zdawało się na razie, że wybuchnie gniewem czy płaczem; powściągnęła się jednak i tylko przez zaciśnięte zęby szepnęła:

— Zawsze to jednak, co obywatel, to nie jakiś poczytliwion...

— Mąż twój nie jest przecież poczytliwionem...

— Ale był nim przez lat 15! Wszyscy ludzie pamiętają, jak biegał po mieście, listy roznosząc...

— Tém większy to zaszczyt dla niego, że z biedy wielkiej wybrnąć potrafił a teraz wcale przyzwoite i korzystne zajmuje miejsce...

— E! pani droga! dźwignęli go dobrzy ludzie. Pan Woiński wziął go z okolicy od macochy, co go biła i głodem morzyła, do szkół go oddał i do kancelaryi pocztowej, a potem protegował... na moje biedę...

Im dłużej trwała rozmowa ta, tém silniej zaciskały się zgrabne i małe, na kolanach złożone, ręce Żmindowej. Mówiła prędko, ale głosem stłumionym i ciężkim. Widoczném było, że z całej siły hamowała rozrywający pierś jej wybuch głosu.

Matka moja patrzała na rozjątrzoną kobietę z litością i niezadowoleniem.

— Wierźaj mi, kochanko — rzekła z powagą — iż powinnaś zapomnieć o swém byłém obywatelstwie i pogodzić się ze swym losem...

— Pogodzić się! — z ciężkością szepnęła kobieta. — Trudno! czy ja właśnie kochałam go, gdym szła za niego?

— Po cóż więc szłaś?

— Chleba nie miałam, pani moja! źli bracia z domu wypędzili... żeby ich tak Pan Bóg od chwały swojej odpędził!...

— Wstydz się! wstydz się, Emilko! — zawołała moja matka — braci rodzonych przeklinać! czy wiesz, że to okropne! i nie dowodzisz tém wcale téj pięknej edukacyi, którą tak chwaliś się zawsze. Nie spodziewałam się, abyś do tego stopnia nie lubić mogła swego uczciwego męża...

Matka moja nie domówiła jeszcze tych wyrazów, gdy Żmindowa osunęła się z krzesła i, tuląc do kolan jej głowę swą, strojną w żółty czepeczek, spazmatycznym wybuchnęła płaczem. Pękły nakoniec w piersi jej wszelkie tamy, wolą stawiane, i po półgodzinném powściągnięciu się, nerwowa ta i namiętna natura wybuchnęła łzami i wykrzykami.

— Pani moja! — wołała, łkając — nie gniewaj się na mnie! ja panią kocham i szanuję jak matkę! wszystko przed nią powiedzieć gotowam! Ja nie wiem czasem sama, co się ze mną dzieje! Na cały świat zła jestem! Szatan jakiś siedzi we mnie! Czasem uspokoję się trochę, ale znowu przychodzi taki dzień, że gdyby nie bojaźń sądu Bożego, to-bym się na piérwszém lepszém drzewie obwiesiła! Cóż ja na to poradzę, że mi z nim życie obrzydło! To wól, pani droga! to mu! taki stary i ciężki. Nim on krok jeden zrobi jabym pół świata obleciała; nim słowo wymówi, jabym całe kazanie księdza proboszcza na pamięć wyrecytowała! Ognia z wodą nie pogodzić, pani droga! serca młodego w kajdany nie okuć! Trudno!

— A dziecko? — szepnęła moja matka, — wszak masz dziecko, Emilio!

Żmindowa, siedząc wciąż na ziemi, lzy z twarzy ocierała.

— Dziecko! — powtórzyła cicho, — do niego podobne! ni to żyje, ni to nie żyje!
Taki sam muł z nią będzie, jak i ojciec!

Przez dobry kwadrans jeszcze matka moja napominała i do upamiętania się wzywała klęczącą u kolan jej kobietę; a gdy nakoniec, odwołana przez kogoś z domowych, pokój opuściła, Żmindowa podniosła się z ziemi i, z szelestem krochmalnej sukni, gwałtownie, we wzburzeniu wielkim i widocznym, wbiegła w prowadzącą ku pocztowej drodze, ogródkową aleję. Tam zaczęła iść powolnym i chwiejącym się krokiem. Spoglądała niekiedy w niebo. Wzdychała. Cała drobna postać jej zdawała się być w onej chwili wcieleniem głębokiej melancholii i nieuleczalnej tęsknoty.

Ale kroki powolnej a smętniej kobiety oddawna już snadź śledzone były przez Wawrzyńca Śnidkę, prowentowego pisarza naszego. Był to bardzo przystojny, a bardziej jeszcze czuły kawaler, z wypomadowanemi do obrzydliwości kędziorami, z miodowo-słodkim wzrokiem i z turkusowym pierścieniem na palcu. Poczciwy zresztą chłopak ten dzielnie dosiadał konia, tańce passyami lubił, wiersze pisał, a w poetycznym nastroju ducha swego, nie mogąc znieść prozaicznego imienia: Wawrzyniec, prosił, a komu mógł i rozkazywał, aby go nazywano panem Laurentym.

Owóż widziałem z dala, jak pan Laurenty u końca ogrodowej alei zaszedł drogę kobiecie, idącej smutnie i powoli, i z pełnym gracyi ukłonem uchylił przed nią zgrabną czapczkę. Ona odpowiedziała mu ukłonem i uśmiechem. Jakby za dotknięciem czarnoksiężki różdżki, twarz jej z ponurą stała się ożywioną i zalotną. Z furtki ogrodowej wyszli razem na drogę pocztową, a nie upłynęło dwie minuty, jak za ogrodowemi sztachetami brzmiał w letniem rozslonecznionem powietrzu dźwięczny, przeciągły, zalotny śmiech kobiecy.

Jakiemikolwiek jednak były uczucia dla męża ładnej pani Emilii, Żmindy zdawał się o nich nic wcale nie wiedzieć. Obchodził się on z nią z tą poważną łagodnością, która cechowała go ogólnie w obęjściu się z ludźmi, niekiedy nawet wyglądał wobec niej na-pół jakby nieśmiały, na-pół nią dumny. Poszanowanie, jakie miał dla niej, dochodziło nawet do tego stopnia, że, aby oszczędzić jej trudów wszelakich, trzymał służącą, co przy malutkiem gospodarstwie i niewielkich dochodach stanowiło już nawet pewien rodzaj zbytku. Wysokie to uszanowanie spokoju jej i dobrobytu miało ten skutek, że pani Emilia całe Boże dnie i całe okrągłe lata nic a nic nie robiła. Ojciec mój, który, jak wszyscy zresztą, wiedział dobrze o próżnych i niebezpiecznie gwałtownych usposobieniach młodej kobiety, rzekł raz do Żmindy:

— Dlaczego nie zachęcisz pan żony swój do zajęcia jakiego? Bezczyenne takie przesiadywanie na ganku lub w oknie domu i bieganie ustawiczne po drodze i sąsiadach niebezpiecznym być może dla młodej i żywej kobiety.

Żmindy zdumionemi oczyma spojrzął w twarz ojca.

— Niebezpiecznym? — powtórzył. — A jakież to może być niebezpieczeństwo, proszę pana? — Uśmiechnął się i dodał:

— Alboż to dziecko? w sadzawce przecież nie utopi się...

— Zawsze jednak przykładniej było-by i korzystniej, gdyby zajęła się choć trochę gospodarstwem, szyciem...

Żmindy namyślał się chwilę.

— Nie, proszę pana, — odparł zwykłym sobie powolnym sposobem, — ja jej do roboty zmuszać nie mogę... obywatelską córkę wziąłem... szanować ją powinienem... Przytém, proszę pana, młoda to kobieta... ja stary... niech-że choć wygodę a spokojność ma przy mnie!...

Najlżejszy cień zazdrości lub podejrzania nie powstał mu nigdy w umyśle. Śmieli się z niego ludzie po cichu, albo litościwie wstrząsali głowami; on sam jednak czuł się widocznie uszczęśliwionym, ile razy fertyczna i zwinna żona jego bawiła kogoś z przybyłych na stacyą wykwintnych podróżnych, wesołym a niepozbanionym wdzięku szczebiotem. W czasie, gdy mąż jej sprawdzał *podorożną*, wpisywał do książki otrzymane pieniądze i strzegł porządku a pośpieszności w zaprzęgu koni, pani Emilia w gościnnych pokojach częstowała gościa herbatą i rozmową. Zabawiany w ten sposób gość, jeżeli szczególnie

młodym był i wesołym, nie śpieszył się z odjazdem, a zdarzało się nieraz, że, odjeżdżając, nakoniec przyjaźnie rękę Żmindzie podawał, zapowiadał, że wkrótce znowu stronami temi przejeżdżać będzie i wieszował mu porządku, w jakim utrzymać umiał stacyą, nad którą, na całej długości drogi, nie było porządniejszej, gościnniejszej i miliej położonej. Pochwały te uszczęśliwiały Żmindę.

— Już to, — mawiał po odjeździe grzecznego gościa, — już to, co prawda, to prawda, że takiej stacyi, jak nasza, chyba na całym świecie niema. Bo to i czysto u nas, i porządnie, i grzecznie. Jeżeli gość żąda pośpiechu, jesteśmy zawsze w możności odprawić go prędko, a jeżeli nie, to i zabawić go przyjemną rozmową umiemy.

Przy ostatnich słowach, senny wzrok jego przybierał wyraz figlarności i skierowywał się ku pani Emilii. Zbliżał się do żony i grubym ramieniem obejmować próbował cienką i giętką jej kibić. Ale p. Emilia żywo i ze stłumionem na ustach syknięciem uchylała się od tej pieszczoty małżeńskiej, i lekka, szeleszcząca fałdzistą suknią, umykała przez sień, w głąb mieszkania. Żminda poruszenie to żony brał zwyczajnie za żart i pustą swawolę, a usłyszaną od gościa pochwałą stacyi w niezwykle dobry humor wprawiony, puszczał się niekiedy za uciekającą w swawolną gonitwę. Kiedy zaś z postacią swą barczystą i grubą, w ciasny mundur jak w futerał opiętą, z rozstawionemi ramionami i szerokim uśmiechem wśród wielkiej, jakby obrzękłej twarzy, biegł tak za malutką i zaledwie dotykającą ziemi, swą żoną, a wielkie stopy jego, opylonem obuwiem okryte, ciężko i ze stukiem opadały na ziemię; na myśl patrzącemu nasuwał się słon ogromny, stary i leniwy, uganiający się za drobną ptaszyną, o skrzydłach z zefiru i ognia. Gonitwy te zresztą kończyły się zawsze u drzwi, które pani Emilia z trzaskiem przed mężem zamykała, po dwa razy i ze stukiem gwałtownym klucz w zamku z wewnątrz obracając.

Bywało nieraz, iż po przedłużonej takiej bytności na stacyi młodego jakiegoś i wykwińskiego gościa, usposobienie pani Emilii zmieniało się do niepoznania. Bładła i mizerniała widocznie, czarne oczy jej zapadały i nabierały błysków gorączkowych, ruchy stawały się powolniejszymi, jakby zjętemi niezmożonem, sennem rozmarzeniem. Widać było, że nerwową, niespokojną naturę tę przenikały wtedy na wskroś palące pragnienia jakieś i głębokie żale. Milkły wtedy srebrzyste wybuchy jej śmiechu, które w dniach innych nieustannie prawie rozlegały się na ganku stacyi, na drodze, we dworze, wszędzie. Z niechęcią odwracała twarz od najgorętszego z wielbicieli swych, pana Laurentego, a gdy ten uprzykrzał się jej melancholijnemi zapytaniami o przyczynę smutku, z syczącem szderstwem odsyłała go do garderoby dworskiej, gdzie, jak mówiła, najwłaściwszą dla siebie mógł znaleźć pociechę i zabawę. Zresztą milczała jak grób, ubierała się w czarną suknię, a oczy jej co chwila zachodziły łzami.

W czasie każdego takiego paroxyzmu rozpaczy żony, Żminda chodził, jak struty, przyczyny jego domyślić się w żaden sposób nie mogąc. — Chora chyba, — szeptał, zwieszając smutnie głowę, — zmizerniała widocznie... nic nie je...

Albo też zapytywał najbliższych swych przyjaciół:

— Czy ja jej co złego zrobiłem? zdaje się, że nie... ale zresztą... być to może! być to może! taki jestem niezgrabny i powolny... ale powinna przecież wiedzieć, że nie ja temu winien jestem, ale ten mak przeklęty!...

Albo znowu mówił do córki:

— Salusiu! spytaj się mamy, czego taka smutna?

Ale dziewczynka nieśmiałą jakoś była do matki, która też, dość obojętna dla niej zwykle, w dniach tajemniczycy żalów swych i rozjątrzeń i patrzeć nawet na nią nie chciała.

Przychodził tedy w utrapieniu swém Żminda do dworu i prosił moją matkę, aby przez najbliższą okazję sprowadzić raczyła z gubernialnego miasta materiją na suknię dla jego żony, nowy kapelusz lub coś podobnego.

— Pani dobrodziejka, — mawiał, — według gustu swego kupić to rozkaże, a ja myślę, że to może Emilkę rozerwie trochę. Nie wiem prawdziwie, co to jest, — dodawał, — ale taka mizerna jakaś i nieswoja, że boję się, czy jej czasem, nie chcąc, czém nie zmartwiłem...

Zdarzało się tak najczęściej, że gdy suknia lub kapelusz przychodziły z miasta, pani Emilia była już pocieszoną i rozweseloną zupełnie. Żminda niósł jej przecież podarunek, za który, gdy mu czasem z uśmiechem podziękowała, rad był już zupełnie z niej i z siebie, a sąsiadkom, zebrany dla przypatrzenia się przywiezionym z miasta strojom, z niejaką dumą mówił:

— Należy się jój to, jejmoście moje, należy; kobiéta młoda, edukowana i... obywatelska córka!

Jakkolwiek przecież dobrym był, ufnym i względnym dla żony, Piotr Żminda wszystkie najgłębsze tkliwości swe i nadzieje skupiał na córce.

Było to dziecię dość dziwne. Wysoka nad wiek, bardzo szczupła i wątła, ruchy jednak miała ojcowskie, powolne i ciężkie. Twarzyczka jój ściągała, ładnie wykrojona, bladawą cerą okryta, nieruchomą była prawie i nadzwyczaj rzadko rozświecała się uśmiechem, który smętnie jakoś zawsze i niewyraźnie wyglądał na blado różowych, cienkich jój wargach. Oczy miała duże, błękitne, z bardzo łagodnym i nieco sennym wyrazem, włosy gęste, złote, dwoma grubemi warkoczami na plecy opadające. Ludzie mówili, że Salusia wrodziła się w ojca. W istocie, patrząc na dwoje ludzi tych, rzecz-by można, iż ów mak smutnej pamięci, który tak trwale ślady pozostawił w ustroju ojcowskim, przeniknął też i organizm dziecka pierwiastkiem jakimś sennym, smętnym i ociążającym. Dziewczynka ta ubieraną zwykle bywała ze starannością wielką. Ojciec przez czulość, matka przez próżność, stroili ją w błękitne i różowe sukienki z białemi paskami, w złote warkocze jój wplatali barwiste wstążki. Wszystko to przecież nie bawiło wcale Salusi. Najlepiej lubiła przebywać z ojcem w ogrodzie, który Żminda uprawiał z zamiłowaniem i pracowitością wielką. Tam, powolna i wyprostowana, milcząc i zawsze kędyś daleko patrząc, pomagała ona ojcu obrywać z krzewów liście zeschnię, lub okładać kamyczkami klomby kwiatowe, niekiedy zaś nabierała w fartuszek żwiru i powoli, miarowo, drobną, ciemną rączką sypała go na ścieżki ogrodu.

Tak pracowali po dniach całych, na odgłos tylko pocztowego dzwonka odrywając się od pracy swój, aby wnet znowu do niej powrócić. Ogródek też wyglądał, jak cacko, a było w nim miejsce jedno, kędy, na świeżej zawsze, bo starannie podlewanój i koszonej murawie, u stóp rosochatój, odwiecznej wierzby, Żminda z córką siadywać lubili po pracy o zachodzie słońca. Dziecię przychodziło zawsze w to miejsce z garsteczką kwiatów, które zrywało przedtém powoli, z bladym uśmiechem słabój radości na wargach. Ojciec znowu składał obok siebie narzędzia ogrodnicze: nożyce, noże, motykę, konew'; poczem obejmował córkę ramieniem, a ona, złożywszy bladziutką twarz swą na jego szerokiej piersi, zarzucała mu na ramię złote swe warkocze. W takiej postawie siadywali godzinę i dłużej czasem. Nie mówili do siebie nic, a dwie pary oczu ich, dziwnie podobne barwą i wyrazem, tkwiły nieruchomie w onój stronie nieba, kędy ognisty obłok zachodu rzucał po-nad drzewa gorące łuny, a płynące w powietrzu morze blasków różowych walczyło z ciągnącym od północy mrokiem wieczoru.

Wtedy-to, o tój wpół szarój już, wpół świetlistój jeszcze godzinie, wielkie, ciężkie ręce Żmindy ujmowały niekiedy kwiaty, które dziecię przyniosło tu i na różowój sukience swój złożyło, i zaczynały przystrajać niemi złociste włosy dziewczynki. Z cichym uśmiechem na szerokich swych wargach, przymocowywał on nad blademi skrońmi dziecka żółte nagietki i białe stokrocie. Niekiedy, czyniąc to, śmiał się do siebie pół głośno. Wtedy i Salusia uśmiechała się także i, nie podnosząc głowy z nad jego piersi, drobną rączką, powolnym ruchem, podawała mu coraz inne kwiaty.

Na szerokiej drodze stawało się coraz ciemniej. W odwiecznych lipach dworskiego ogrodu szumił wiatr lekki, gwiazdy zapalały się na niebie i błyszczały w spokojnej szybie stawu, na osadę całą spadała cisza nocy i odpoczynku; tylko w altanie z powojów, strojącój ganek pocztowego domu, dźwięczał płochy, srebrzysty śmiech, pani Emilii, bawiącój się z ofycyalistami dworskimi i, wśród grusz starych, z otwartych drzwi kuźni lały się w ciemności ponsowe blaski płomienia.

Wtedy w ogrodowój fórtce ukazywał się Żminda, z córką w objęciu. Z uspionój i na ramię jego pochylonój głowy Saluni opadały kwiaty. Żminda niósł ją ku domowi z wolna, ostrożnie, jakby sen jój przerwać się lękał, a od czasu do czasu, zbliżając twarz swą do jój twarzy, bez uśmiechu jednak ni pocałunku, powtarzał półgłosem:

— Oj ty, śpioszku mój! rabaczku! gwiazdeczko!... mój ty skarbie!

Miałem lat 19 i, po odbyciu pierwszego kursu uniwersyteckich nauk, przybywałem na wakacje do rodzicielskiego domu, kiedy z odległości kilku już staj drogi ujrzałem panujący przed stacją, pocztową ruch niezwykły. Tłoczyli się tam ludzie, w przejrzystém błękitném

powietrzu powiewały żałobne chorągwie, brzmiały śpiewy jakieś, do przeciągłych łkań podobne, i po nad szmer wielu głosów słumionych wybijały się płacze głośne i zawodzące. Niebawem rozpoznałem wysoką postać mego ojca, stojącego z głową odkrytą, w pewnym od tłumy oddaleniu, i dojrzałem migoczącą na cienistym ganku jasną suknią młodziutkiej siostry mojej.

Powiedziałem woźnicy memu, aby pojechał wprost przed stacją i, wyskoczywszy z bryczki, w mgnieniu oka znalazłem się u boku ojca mego, który, powściągając widocznie objawy radości, na widok mój doświadczonej, powitał mię milczącym ściśnieniem ręki i cichymi słowy:

— Córka Żmindy, mała Salusia... umarła!

Zaledwie te słowa wymówionemi zostały, w drzwiach pocztowego budynku ukazała się, przez kilku ludzi niesiona, niewielka, błękitna trumna. Tuż za nią wyszła na ganek domu Emilia Żmindowa, w czarnej sukni, z włosami rozpuszczonemi, z głową fantastycznie owiniętą w czarne krepy jakieś i woale. Twarz jej była łzami zalana, ręce załamane. Rzuciła się za trumną córki w konwulsyjnych ruchach i z dzikimi okrzykami. Podnosiła oczy i ręce ku niebu, i szamotała się tak gwałtownie, że kilka kobiet, szlochających też i lamentujących na całe gardło, powstrzymywać ją musiało. Za tłumem tym dopięro, miotającym się i wrzaskliwym, w drzwiach sieni ukazał się Żminda. Spojrzałem na niego z głębokim współczuciem i zdziwiony zostałem, nie ujrawszy w powierzchowności jego żadnej prawie zmiany. Miał na sobie mundur świąteczny, zapięty od pierwszego guzika u góry do ostatniego u dołu, trzymał się prosto, i tylko twarz, która żółtszą jeszcze i bardziej nabrzmiałą wydawała się, niż zwykle, pochylał bardzo nisko.

Oczy jego, nieruchomo w ziemię utkwione i szklisto błyszczące, posiadały wyraz kamiennego jakby osłupienia. Zbliżył się do woza kirem okrytego i, milcząc, wyciągnął ręce, jakby chciał sam złożyć na nim błękitną trumienkę, ale w otaczającym wóz tłumie rozszedł się gwar słumiony i kilka głosów jednocześnie zawołało:

— Nie trzeba wozu! poniesiemy ją sami na cmentarz!

Oświadczenie to wymówionem zostało przez kilku pocztylionów, podwładnych Żmindy; poczem ludzie ci, ubrani w długą czarną odzież, przepasani czerwonymi pasami i z żółtymi blachami na piersiach, pochwycili trumnę na silne swe ramiona i stanęli z nią nieruchomo, oczekując chwili ukazania się księdza w drzwiach domu. Żminda oderwał wzrok od ziemi, i mętne, szkliste spojrzenie tocząc po twarzach życzliwych dla niego ludzi, szepnął:

— Bóg zapłać!

Był to szept tak cichy, że ja tylko jeden, którym stał tuż obok niego, dosłyszeć go mogłem. Rzecz-by można, iż był to słaby tylko powiew, wychodzący ze śmiertelnie ugodzonej i zamierającej piersi.

Po chwili smutny orszak, w którym rozlegały się wciąż spazmatyczne krzyki pani Emilii i piskliwe lamenty towarzyszących jej kobiet, z księdzem, niosącym krzyż na czole, puścił się w powolny pochód. Żminda szedł ostatni, z czapką, na której błyszczała urzędnicza gwiazdka, w spuszczonej dłoniach, ze wzrokiem znowu wbitym w ziemię. Nagle za plecami odchodzących donośnie zadźwięczał dzwonek. Żminda stanął jak wryty, podniósł twarz i sekund parę słuchał tak, jakby uszom własnym nie dowierzał. Dzwonek ten dźwięczał coraz głośniej, coraz wyraźniej, tuż prawie przy stacji.

— Oh! — westchnął nagle Żminda i, odwróciwszy się szybko, spojrzał na przybliżający się w tumanie kurzawy lekki kocznyk, czterema pocztowymi końmi zaprzęzony. Gwałtownie zwrócił się znowu w stronę, w którą ciągnął pogrzebowy orszak i oba ramiona wyciągnął ku trumnie, błękitno migoczącej wśród czarnych ubiorów niosących ją ludzi.

Straszna walka, druzgocący przestrach jakiś zatrzęsły tak nieruchomą zwykle jego twarz.

— Co ja zrobię? co ja zrobię? — szeptał, jakby nieprzytomny. — Wszak muszę pożegnać się z nią... tam ktoś jedzie... i w tę stronę iść... i w tamtą iść... nie mogę!

— Ależ bądź pan spokojny, — rzeki mój ojciec — idź za trumną córki. Ja wrócę na stację i zastąpię cię... zrobię wszystko, jak należy...

Trudno powiedzieć, czy Żminda zrozumiał, a nawet dosłyszał te słowa. Oczy jego otwierały się szeroko, powieki mrugały.

— Aha! — zawołał nagle, — wiem już! pójdę! załatwię wszystko, a potem dobiegnę jeszcze w czas, żeby się z nią pożegnać...

Szeptał to, skoczył ku stacyi. Ojciec mój chciał go powstrzymać. Daremnie.

— Nie mogę! — szeptał, — nie mogę! muszę tam być! a jakże-by inaczej? Co komu do tego, że mnie... mnie dziecko porzuciło!... Dobiegnę potem jeszcze, dobiegnę!

I biegł ku stacyi.

— Zostań z nim! — szepnął mi ojciec.

Z koczyka wyskoczył młody, przystojny mężczyzna, którego znałem trochę; był to bowiem obywatel wiejski, o cztery mile od nas mieszkający, słynny na powiat cały hulaka i uwodziciel kobiet.

Żminda zdyszany cały wpadł na ganek, zgiął się przed przybyłym dziwnie niskim, elastycznym ukłonem i prędko bardzo mówić zaczął:

— Niech pan pospiesza, panie łaskawy, na miłość Boga, niech pan pospiesza! *podorożną* pan ma? ile pan koni życzy sobie? Natychmiast będą! o *podorożną* proszę... *prohony*...

— Ależ, panie Żmindo! — przerwał ze zdziwieniem podróżny, — nie poznajesz mię pan chyba! Wszak jesteśmy dobrze znajomi, przejeżdżam tędy od dwóch miesięcy co tydzień prawie.

— Rzeczywiście, nie poznaję... nie poznaję... nie wiem, czy mam honor... — jednym tchem mówił wciąż Żminda, — ale proszę łaskawego pana... niech pan pośpiesza... moi ludnie zaraz gotowi będą... hej! Jan! Ambroży! Doliniecki! wyprowadzać konie! zaprzęgać na miłość Bożką prędko! prędko! Wszak ja tam dobiedz jeszcze muszę, nim ją ziemią zarzucą... Ambroży, cztery konie dla pana!... *podorożna* panie łaskawy! *prohony*! Widzi pan, tu u mnie wielki porządek zawsze i takiego pośpiechu niema, ale dziś co innego! Dziecko mnie porzuciło... na szkarlatynę umarło, muszę dobiedz... pożegnać się.

Mówiąc to wszystko jednym tchem, Żminda, zbiegał wciąż z ganku i wbiegał nań napowrót, rzucał spojrzenia na widniejący jeszcze z dala kondukt, wołał i rękoma machał na kilku pocztylionów, którzy, pozostawszy na stacyi, krzatali się po dziedzińcu. Po czole jego zbrudzonem i drgającym ciekły duże krople potu, oczy, tak mętne zwykle i omdlałe, paliły się jak żuźle. Kilku słowami uwiadomiłem podróżnego o wypadku zaszłym w domu Żmindy. Zaledwie zrozumiał, o co idzie, przybyły pochwylił za obie ręce gospodarza stacyi i usiłował przyprowadzić go do przytomności.

— Ależ — mówił, — mnie się wcale a wcale nie śpieszy. Miałem nawet zamiar zabawić na waszej stacyi nieco dłużej. Wyjechałem z domu po śniadaniu i czekać mogę na konie, choćby do wieczora. Idź pan za pogrzebem córki, a ja siądę tu na ganku i czekać będę.

Żminda słuchał z razu nieprzytomnie, i w ogarniającem go wciąż uczuciu pośpiechu, rękę swą z dłoni gościa wyrwać usiłował. Po chwili jednak słowo jakieś trafiło snadź do splątanego w chaos jego umysłu.

— Pan dobrodziej zaczeka! — zawołał z radością niemal, — to dobrze! oh! jak to dobrze! więc mogę już biédz! mogę już biédz! pan z pewnością zaczeka, nim wrócę!

— Zaczekam, zaczekam, choćby do późnej nocy! — upewniał podróżny, ale Żminda już go nie słyszał. Z odkrytą głową, z rozstawionemi ramionami biegł już brzegiem drogi, w stronę jęj północną, kędy na tle szarego wiecznie skłonu nieba widać było jeszcze powiewającą chorągiew.

W godzinę potem ludność dworu i osady pocztowej wracała z pogrzebowego obchodu. Panią Emilią matka moja wiozła w swym powozie. Mała kobiątka ślicznie wyglądała w swych fantastycznie wkoło głowy owiniętych kirach; wydawała się wciąż zrozapconą, łamała ręce i szamotała się gwałtownie. Skoro jednak powóz zbliżył się ku stacyi, a wzrok jęj spotkał się z ładnym koczykiem, stojącym w pobliżu ganku, szkarlatny rumieniec opłynął bladą i zmiętą dnia tego jęj twarzyczkę, czarne jęj oczy błysnęły z za łez promieniem, jakby uczutęj niewymownej ulgi. Ucałowała ręce mojej matki, powoli, chwiejąc się, wysiadła z powozu, i z głową melancholijnie pod zwojami czarnej krepy schyloną, podała drobną rękę stojącemu na ganku, wykwintnej powierzchowności, podróżnemu. On pochylił się nieco, głęboko w twarz jęj spojrział, kilka słów cichych wymówił, poczem zniknęli oboje w głębi mieszkania.

Ale Żminda nie wrócił wraz z innymi. Przy grobie córki zapomniał snadź o stacyi pocztowej, o obowiązkach swych i o całym świecie. Dzień miał się ku końcowi, zachodzące słońce malowało już na skraju nieba owe ogniste zaniki z fioletowemi basztami, w których tyle razy tkwiły błękitne, wpół-senne oczy, siedzących pod starą wierzbą, ojca i córki; — a Żmindy nie było jeszcze na stacyi. Późnym dopiero wieczorem, gdy gwiazdy błyszcząły już na niebie, osada cała zdawała się być uspioną, i tylko czerwone iskry, strzelające rojem z komina kuźni, rozświecały ciemność, zalegającą drogę, stanąłem w fórtce ogrodu i zobaczyłem ciemną jakąś, wysoką postać, wlokącą się bardzo powoli brzegiem drogi, pod ścianą z cicha szumiących klonów i topoli.

Postać ta, ze schyloną głową, minęła bielejący budynek pocztowy i weszła w głąb ogródka. Ładny zaś koczyk podróżnego stał wciąż pod sztachetami, dom otaczającymi. W mieszkaniu Żmindów nie paliło się żadne światło, tylko jedno z okien było otwarte, a przy niem, szerokim krzewem jaśminu nawpół okryte, siedziały dwie osoby: mężczyzna i kobieta. Niekiedy, gdy pod silniejszym powiewem wiatru rozchylały się gałęzie krzewu, rozpoznać można było ładną głowę pani Emilii, z czarnych kirów oswobodzoną, ale osłoniętą za to gęstemi zwojami kruczych, długich włosów. Skroń opierała na dłoni, co postawie jej nadawało wyraz smętny i zadumany, ale oczy jej od chwili do chwili połyskiwały wśród cieniów namiętym blaskiem. Siedzący naprzeciw niej mężczyzna palił cygaro i pochylał się ku niej, cicho bardzo szepcząc wyrazy próśb jakichś czy oświadczeń. Była jednak chwila, w której szepc pary tej zmienił się w głośną prawie rozmowę.

— Tak prędko! — z wybuchem jakby przestraszu zawołała kobieta.

— Tak prędko, albo nigdy! — ze stanowczością człowieka, który czuje się panem położenia, odparł mężczyzna.

— Nigdy! to niepodobna! ja tu już teraz żyć nie mogę! — wydarł się z piersi kobiety krzyk prawie.

Mężczyzna uśmiechnął się tryumfująco, ujął ją za rękę, i znowu o czémś szeptać jej zaczął.

W tej samej chwili, w głębi pocztowego ogródka, w miejscu tém, gdzie stała wierzba stara, a Żminda z córką w objęciu codziennie niegdyś w godzinach zachodu spoczywał, ozwało się wielkie, głębokie, samotne łkanie. Samotném ono było, bo odpowiedział mu tylko głuchy szum wiatru, wierzchołkami drzew przelatujący, i jęcząca w polu, kędyś pod borem dalekim, pastusza trąbka.

Od pogrzebu Salusi minęło zaledwie dwa tygodnie gdy pewnego ranka cała osada pocztowa zawrzała i zakipiała dziwną wieścią, iż nocy ubiegłej Żmindowa zniknęła ze stacyi. Z razu po dworze i osadzie krążyły o wypadku tym domysły rozliczne i jedne od drugich fantastyczniejsze, wkrótce jednak sprawa wyjaśniać się poczęła. Jeden z mieszkańców osady przypomniał sobie, iż widział ją, wybiegającą w nocy z mieszkania, z tłumoczkim w rękę; inny słyszał turkot powozu, który zatrzymał się z dala od stacyi, a w kwadrans potem oddalił się znowu w stronę, z której przybył; ktoś trzeci jeszcze spostrzegł przed kilku dniami pana Przyborskiego, jadącego konno ścieżką przez pole wiodącą, i panią Emilią, która zaszła mu drogę u skraju boru i długo z nim o czémś szeptała... Około południa zdecydowano jednogłośnie, że Żmindowa uciekła od męża.

— Zbałamucił ją i zawiózł do siebie pan Przyborski, — mówiono.

Dla przekonania się lepszego, jeden z młodszych pocztylionów wsiadł na konia i pojechał do Przyborza o cztery mile odległego. Wrócił późnym wieczorem, ale całą osadę znalazł czuwającą.

— Cóż? widziałeś ją? — pytała chórem zaciekawiona i oburzona gromada.

— A jakże! — odparł posłaniec, — zamówiłem się o coś do stangreta, którego znam, i dwie godziny przebyłem we dworze. Z początku myślałem, że nie dowiem się o niczém, bo ludzie gadać nie chcieli; ale potem, stojąc przed stajnią, zobaczyłem pana Przyborskiego, jak wyszedł na ganek domu, ją pod rękę prowadząc. Śmieli się oboje, aż rozległo się po dziedzińcu, i poszli razem do ogrodu...

Żminda stał na ganku stacyi, w cieniu kraty, oplecionej powojem, i niespostrzeżony przez nikogo, wysłuchał opowiadania młodego pocztyliona. Wnet potem cofnął się ku drzwiom od sieni i zniknął w głębi mieszkania.

Nazajutrz obaj z ojcem moim poszliśmy na stacyą. Znaleźliśmy Żmindę w ogrodzie, kopiącego ziemię około malinowych i agrestowych krzaków. Zauważyliśmy od pierwszego spojrzenia, że motyka, którą pograżał w ziemię, zatapiała się w niej niezwykle głęboko, tak głęboko, że aż podrywała korzenie krzewów, które kołysały się pod uderzeniami temi i groziły zupełnym upadnięciem na ziemię. Ale pracujący w ten sposób człowiek nie zdawał się uważać, że robota jego szkodę, zamiast pożytku, przynosi. Spełniał ją machinalnie, i nie odrywając od ziemi nabrzękłych i zaczerwienionych swych oczu. Długo też nie spostrzegł, że zblizamy się do niego, a gdyśmy już tuż przy nim stanęli, spojrzął na nas, i ceglasty rumieniec wystąpił mu nagle na woskowo żółte policzki. Snadź wstydził się czegoś bardzo, bo nie mógł długo patrzeć na nas. Spuścił oczy ku ziemi i, obie trzęsące się widocznie ręce swe na motyce wspierając, stał nieruchomy. Ojciec mój wyciągnął do niego rękę i wymówił kilka przyjaznych słów współczucia.

— Dziękuję panu za dobre słowo, — odparł Żminda powoli i cichym głosem, — cóż robić? — dodał wnet, — cóż robić? Ziemia okrągła jest i toczy się około słońca, a ludzie z nią... to na wierzchu to pod spodem...

Mówiąc, próbował uśmiechać się. Mętny wzrok jego pobiegł gdzieś w dal i tonął w przestrzeni.

— Najgorsza rzecz, — wyrzekł jeszcze po chwili, — że dziecko mnie porzuciło... na szkarlatynę umarła... i matka potem poszła w świat...

Zwrócił powoli twarz ku bielejącej z za drzew stacyi pocztowej.

— Dwanaście lat, — rzekł, — dwanaście lat temu do gniazda tego przywiozłem ptaszka... potem i drugiego Pan Bóg dał, i dobrze było... aż tu jeden ptaszek frunął do nieba... porzuciła mię córka... na szkarlatynę umarła... potem i drugi ptaszek poleciał... gniazdko tylko zostało... puste... chwała Bogu, że choć ono zostało...

Rzekłszy to, spróbował znowu uśmiechnąć się i, nagle pochyliwszy się, zaczął kopać ziemię z taką siłą i tak nieustannie, jakby wyobrażał sobie, że wszystkie smutki swe i zawody z piersi swęj zrzuci, i w czarném łonie ziemi, kędyś, głęboko, pod kolczate, agrestowe krzaki, zakopie.

Lato owe było ostatniem, które spędziłem w rodzicielskim domu. Nad pogodnym dotąd życiem mojem przeciągnęły także chmury nieszczęścia. Utraciłem ojca, i piękna wioska moja rodzinna, wskutek nieprzyjaznych nam okoliczności, przeszła w ręce inne. Po kilku latach, ukończywszy nauki uniwersyteckie, zamieszkałem w mieście gubernialnym, o kilka mil odległym od dawnego gniazda rodziny naszćj, i rozpocząłem tam zawód adwokata. W wirze zajęć i stosunków najrozmaitszych, który mię u początku zaraz męskiego wieku pochwylił, nie miałem wcale czasu do cofania się myślą w przeszłość, choćby najmilszą, i do bawienia się wspomnieniami, choćby najdroższymi: To też upływały miesiące i lata może, a jam w śnie nawet nie ujrzał ni razu rodzinnej mojej drogi pocztowej, ani wdzięcznych obrazków jćj i zamieszkujących je, a tak dobrze mi niegdyś znanych, twarzy ludzkich. Kiedy, nakoniec, po upływie długiego czasu, interes jakiś, z zawodem mym związek mający, rzucił mię znowu na drogę tę, przedstawiała już ona wtedy widok wielce do dawnego nie podobny. Szeroki szlak jćj, równy zawsze i poważnemi zwroty w przestrzeń sunący, mniej biały był, niż dawniej, bo porosły gęstemi pasami trawy, której nie niszczyły już liczne przejeżdżające koła. Po obu stronach jćj wznosiły się zawsze dwie wysokie ściany drzew starych, ale z cichym szumem rozłożystych ich gałęzi nie łączyły się już teraz przenikliwe odgłosy dzwonek pocztowych, i w pół wesołemi, w pół melodyjnemi echami nie biegly na równe, szerokie pole. Z rzadka tylko bardzo spotkać tu można było kilka fur jakichś, zbożem lub drzewem naładowanych, i ku miastu ciągnących; dwu-konną bićdkę, ze skurczonym i trzęsącym się na nićj żydkiem-faktorem; ubogą bryczulkę jakiego okolicznego szlachetki.

Świeżo pobudowane koleje żelazne wsiąknęły w siebie ruch okolicy, a główna dawniej arterya komunikacyjna kraju przestała już być nawet od miesięcy kilku drogą pocztową. To też szeroki ten pas ziemi, trawą porosły, wysokimi ścianami drzew od reszty świata oddzielony, cichy, milczący, bezludny, wydał mi się trupem drogi tćj, która niegdyś, za czasów dzieciństwa mego, biegly w świat, tak wesoła, tłumna, turkocąca i rozdzwoniona.

Nie bez żywego wzruszenia ujrzałem nakoniec miejsce, w którym spłynęły dziecinne i pacholące me lata. Powiedziałem woźnicy memu, aby stanął przed karczmą i, wysiadłszy z powozu, rozglądałem się dokoła. Osada pocztowa, tak ożywiona niegdyś, ludna i dostatnio wyglądająca, postarzała się, zubożała i umilkła. Niemniej jednak, zaledwie ukazałem się wśród drogi, otoczyła mnie wnet gromadka dawnych znajomych. Twarze ludzi tych postarzały, postacie wielu z nich przygarbiły się, ale oczy i serca mieli snadź dobre, bo poznali mnie szybko i powitali uprzejmie, z radością prawie. Ze stron wszystkich sypały się powinszowania, życzenia, utyskiwania i przypominania dawnych czasów; gdy ktoś z gromadki wyrzekł:

— Co za szkoda, że Żmindy już niema! Jakby się on ucieszył, gdyby pana zobaczył!

Spojrzałem na budynek, zawierający dawniej stacją pocztową. Krzątali się koło niego robotnicy jacyś z toporami, piłami i taczkami.

— A ot i pocztę rozbierają, — mówił stojący przy mnie Laurenty Snidko, — dziedzic przenieść ją kazał do dworu, bo mu się drugiej oficyny zapotrzebowało a tu budynek stał pusty, odkąd kędyś tam koleje pobudowali, a tu skasowali pocztę...

— Cóż się stało ze Żmindą? — zapytałem.

— A cóż, spadł nieborak z etatu, miejsce stracił i w świat poszedł.

— Czy dawno?

— Ot dziś dopióro, godzinę może temu, rzeczy swoje na przód na furze wyprawił, a sam pieszo poszedł...

Na oczach pani Jerzowej, żony miejscowego rymarza, znacznymi jeszcze były ślady łez, z którymi żegnała starego sąsiada i przyjaciela.

— Czy wie pan dobrodziej, — mówiła, — myśmy tu wszyscy jak bobry płakali, kiedy ten nieborak ztąd wychodził... Dwadzieścia lat z górą przesiedział na tém miejscu! taki kawał czasu, to nie żarty! i kamień-by w ziemię wrósł, a cóż dopióro człowiek! Ludzie przez czas ten dzieci pochowali i wnuków się doczekali, a jemu biędakowi przyszło samemu jednemu tulać się na starość po cudzych kątach! A pracaż jego ciężka, czy to żart? co on się tu napracował około tego ogrodu, naprzykład! Niech pan dobrodziej spojrzysz tylko, co on z tego ogrodu zrobił!

Zbliżyłem się do płotu, otaczającego ogród dawniej pocztowy, i w istocie, zdumiony zostałem pięknością i bogactwem roślinności, okrywającej niewielki ten kawał ziemi. Jakkolwiek jesień to już była, drzewa owocowe, zasadzone w regularnych odstępach, i z miłością, snadź przez lata długie pielęgnowane, roztaczały dokoła pysznie rozrosłe swe gałęzie, środkiem ogrodu biegł gęsty szpaler z porzeczkowych i malinowych krzewów, nadzwyczaj starannie okopanych, i giętkimi, misternie z łoziny uplecionymi, prętami, od wiatrów i szkód wszelkich osłonionych, pod płotem zaś, na pulchnych, długich zagonach, okwitały olbrzymie malwy i pyszne georginie, a u stóp ich świeciły jeszcze różnobarwném kwieciami krzaczyste, pełne, w symetryczne jakby kosze układane, astry i balsaminy.

— Widzi pan dobrodziej, — mówiła pani Jerzowa, — jakie on tu cuda powyrabiał! Od tego czasu szczególnie, kiedy go córka odumarła, a żonka porzuciła, można powiedzieć, że nic mu na świecie miłém nie było, tylko ten ogród. Kopał się w nim po całych bożych dniach, siał, sadził, polewał, drzewa oskrobywał, to jakimiś maściami smarował, a na kwiaty to, zdaje się, chuchał i dmuchał, tak mu one pięknie rosły i rozkwitały, pięknie, dalibóg, i prędzej niż w dworskim ogrodzie. To téż wie pan dobrodziej, że w tym roku zebrali z ogrodu tego więcej może, niż pięć beczek najpiękniejszych gruszek i jabłek, samych śliwek, węgierek, było pewno z beczkę, jeśli nie więcej. Dziedzic dziwił się, że w tym małym ogródku Żmindy tyle prawie było fruktów, co w jego wielkim, dworskim ogrodzie. Chciał on Żmindzie za te frukta zapłacić. „To twoja praca, mówił, a kiedy miejsce straciłeś, to ci grosz potrzebny będzie”. Ale Żminda podziękował za pieniądze. „Moja praca ale pański grunt”, powiedział, i tylko prosił, żeby mu dziedzic pozwolił mieszkać na stacy dopóty, dopóki nie zaczną już jęć na oficynę dworską przerabiać. Dziedzic pozwolił; ale, ot, trzy dni temu zapowiedział, że pocztę rozbierać zaczną, a dziś już robotników przysłał. Żminda wczoraj spakował na wóz swoje graty i szmaty, a trzy godziny temu pożegnał się ze swoim ogrodem i ze wszystkimi ludźmi, co tu naokoło mieszkali i... poszedł.

— Dokąd-że poszedł? — zapytałem.

— Do Przyborza, co to, pamięta pan, cztery mile ztąd? Zgodził się na ogrodnika u pana Przyborskiego...

— U Przyborskiego! — zawołałem, — jak-to u tego samego, który mu kiedyś żonę wykradł!

Ludzie uśmiechnęli się, westchnęli i głowami pokiwali.

— U tego samego, — odparła pierwsza pani Jerzowa. — Ot, powiem panu dobrodziejowi, że ten pan Przyborski, choć Żmindzie żonkę kiedyś zbałamucił, nie jest tak bardzo złym człowiekiem. Z nią to on prędko się rozstał. A jakże-by ona mogła siedzieć u niego, kiedy tam, do Przyborza, matka młodego-pana, owdowiawszy, i fortunę swoją, słysząc, straciwszy, na mieszkanie przyjechała. Mówią ludzie, że pan Przyborski moc pieniędzy téj kobiecie dał, i kazał jęj w świat ruszać. Pojechała podobno do Warszawy, i tak kędyś zginęła, że ani ucho ludzkie nigdy już o nięj nie słyszało. Pan Przyborski zaś uciekał przez te wszystkie lata od naszej poczty, jak dyabeł od święconęj wody. Jeżeli, bywało, jedzie dokąd tędy, to przeleci koło stacyi jak piorun; u dziedzica naszego nawet nie bywał, dlatego może, ażeby przypadkiem nie spotkać się ze Żmindą. Ale jak u nas pocztę skasowali i Żminda z etatu spadł, pogłoska wielka poszła o tém po okolicy, wszyscy żalowali bardzo biédaka, i pana Przyborskiego sumienie tknęło. Przyjechał i zaczął Żmindę za rękę ścisnąć. W piersi bił się: „Grzeszny jestem przed tobą, panie Żminda, ale już nie gniewaj się na mnie. Ta kobieta, żeby nie ze mną, z drugim-by to samo zrobiła. Młody byłem i w głowie świtało. Ot, bez miejsca teraz jesteś na stare lata. Jedź do mnie, do Przyborza, izbę, ci ciepłą dam i kawał chleba do śmierci”. Żminda bronił się długo. „Niepięknie, mówił, niepięknie obywatelowi tak postępować!” Potém jednakowoż zgodził się pójść do Przyborza, ale, broń Boże, nie na chléb łaskawy. „Na ogrodnika mię pan weź, powiedział, w Przyborzu ogród wielki, a nikt koło niego nie chodzi tak, jak trzeba. Ja panu z niego cacko zrobię i darmo u pana jeść chleba nie będę”. Ludzie troszkę mu to za złe mieli, że do Przyborskiego w służbę idzie, i szeptali mu, żeby tego nie robił. Ale Żminda temu i owemu odpowiedział: „Młody był, w głowie mu świtało. *Ona*, żeby chciała, toby do mnie dawno wróciła. Wiedziała przecież, żebym jęj nie odepchnął, bom do nięj pisał nie raz, ale dziesięć może. Kiedy nie wróciła, to widać nie chciała, i Bóg tam wie, co się z nią dzieje teraz... może wielką panią sobie gdzie jest, bo kobietą ładną była, edukowaną i obywatelską córką... Ja zaś nie mogę całe życie gniewać się na człowieka... kiedy jeszcze przyjeżdża i przeprasza... Serce nie kamień! Pan Bóg niech jego sądzi! Zgrzeszył, to zgrzeszył, ale złym człowiekiem nie jest... Łaski jego zresztą nie potrzebuję żadnej... będę mu pracował i z ogrodu cacko zrobię... Dobrem za złe...” I ot, poszedł w służbę...

— A mnie się zdaje, — zawołał Laurenty Snidka, — że pan Przyborski pieniądze u starego przewąchał, i dlatego tak go do siebie wabił... On teraz rzuca się, jak ryba w wodzie... z kąd zarwie grosza to dobrze, byle zarwał...

— A, pan Laurenty zawsze musi mieć złe jakieś podejrzenia! — sarknęła pani Jerzowa, trzymająca widocznie stronę Przyborskiego.

— A jejmość to się chyba w panu Przyborskim kochasz, tak go zawsze bronisz! — zażartował Snidko.

— A pan Laurenty, to mu chyba darować tego nie możesz, że ci Żmindowę, z którą romansować chciałeś, z przed nosa zdmuchnął!

— Wstydz się jejmość! starą kobietą jesteś, a ujadasz się jeszcze za takiego świszczy-pańkę dlatego, że pięknym jest mężczyzną!

— A jużci, że piękniejszy od pana Laurentego, to piękniejszy!

— Powiedz mi, panie Snidka, — rzekłem, — czy Żminda naprawdę zebrał sobie jaki fundusik?

— A ma tam trochę grosza, panie dobrodziej, niewiele... może jakich kilkaset rubli, co je sobie przez całe życie uciułał. Na utrzymanie siebie to nie starczy, ale w złęj godzinie zawsze jaki taki ratunek byłby... Boję się tylko bardzo, żeby mu tych pieniędzy pan Przyborski nie świsnął tak samo, jak kiedyś żonkę...

W kilka minut po téj rozmowie pożegnałem gromadkę dawnych moich znajomych i puściłem się w dalszą drogę.

Dzień to był jesienny, chmurny. Pomiędzy niebem a ziemią błędziły powiewne obłoki mgieł szarych, a z za nich, jak z za gazowęj obsłony, przebijały się po obu stronach drogi

jaskrawe barwy, któremi jesień przyoblokła drzewa. Tu brzoza wysmukła i nieruchoma stała niby słup złoty, owinięty szarym welonem, owdzie drżały w powietrzu blado-różowe listki osiczyzny, tam dąb wysoki powiewał w górze wielkim pękiem gorąco żółtego listowia, gdzieindziej krwawym szkarłatem błyskały grona jarzębiny.

Ujechałem spory kawał drogi, daremnie rozglądając się dokoła, czy nie spostrzegę gdzie idącego Żmindy, gdy w miejscu pewnym, wśród przerzedzonego zastępu drzew, zobaczyłem drogę boczną, nie szeroką, która, do pocztowego niegdyś gościńca, niby strumień do rzeki, przytykając, biegła już dalej po gładkim, rozległym polu szlakiem nierównym i pustym. W oddali, szerokimi budynkami i gajem smukłych topoli włoskich ciemniał dwór jakiś. Przypomniałem sobie dokładnie, że był to Przyborów. Ku dworowi temu, boczną, nierówną drogą, szedł człowiek jakiś. Wysoka, ciężka, barczysta jego postać uwydatniała się na tle szarém ciemniejszymi nieco zarysy, a po chwili, gdy, wytężywszy wzrok, przypatrzyłem się mu lepiej, wątpić nie mogłem, iż samotny wędrowiec ten był Piotrem Żmindą. Znużonym, ciężkim krokiem, posuwał się on drogą nierówną i wyżłobioną, bardzo powoli; dokoła niego z szumem i poświstami hasały podmuchy wiatru, nad głową jego kłębiły się mgły wilgotne i szare, a na całym tym szerokim, cichym, zeszlęmi badyłami porośłym rozłogu nie widać było nic, prócz niego i stariej gruszy polnej, która kędyś, w oddali, trzęsła nad żółtą miedzą ciemnymi gałęzmi.

Parę lat znowu minęło, gdy dnia pewnego zjawił się w gabinecie moim izraelita jakiś, bardzo porządnie wyglądający i, przedstawivszy się mnie jako kupiec z okolicy, zamieszkiwanej niegdyś przez rodziców moich, przypomniawszy mi nawet, że widywał mię niegdyś dzieckiem i dorastającym chłopakiem, zażądał ode mnie prawnej porady.

— Interes jest niedobry, — mówił, siadając i wydobywając z kieszeni surduta spory pakiet papierów, — już, kiedy ja go mam z panem Przyborskim, — ciągnął, — to on musi być niedobry. Do tego czasu ja jednak myślałem sobie, że sam jemu dam radę, ale teraz to ja już widzę, że tu trzeba takiej głowy, co prawo zna, i takiej ręki, coby ostro koło niego pochodziła. Niech pan będzie łaskaw rozpatrzyć te papiery, a ja tymczasem opowiem, jak wszystko było.

W papierach, podanych mi przez żyda, znajdowały się kontrakty na zboże, jak też mniej lub więcej formalne kartki i obligi.

— Zboża tego, co on mi sprzedał i pieniądze za nie z góry wziął, ja nigdy na oczy nie widział, — mówił żyd, — bo to taki jest pan, że jak on pieniędzy zapotrzebuje, to rzecz sprzedaną drugi raz komu innemu sprzedaje, i pod sekretem z domu wywiezie, a pierwszego kupca z kwitkiem puszcza. Jak pan przeczyta wszystkie te kontrakty, to pan zobaczy, jaki ja tam kapitał wsadziłem, te zaś kartki i obligi za procent są wydane...

Cyfry, wystawione w kilku dokumentach tych, przedstawiały razem sumę znaczną.

— Należności pańskie, — rzekłem, — nie wszystkie posiadają jednostajną wagę prawną. Część ich odbierzesz pan z pewnością, a część, w razie złej woli lub bankructwa pana Przyborskiego, utracić możesz.

Żyd z zalem, ale spokojnie, potrząsał głową.

— Ja wiem, że mnie tam coś z tego przepaść musi, — rzekł. — Na bankructwo tu czekać nie trzeba, ono już gotowe. Ale ja chcę odebrać to przynajmniej, co można, i przyszedłem prosić, żeby mi pan dopomógł exekwować z Przyborowa moją należność.

Zaledwie izraelita słów tych domówił, do gabinetu mego wszedł, z zasmuconą i nieśmiałą trochę postawą, człowiek jakiś, z ubrania wyglądający na zagrodowego szlachcica.

— Panie dobrodzieju, — rzekł, kłaniając się, — z okolicy Żmindów pochodzę... sąsiadem rodziców pana byłem kiedyś... ratuj-że mię pan teraz... dopomóż wyrwać grosz, ciężko zapracowany, z rąk pana Przyborskiego. Oto jest oblig, co mi pięć lat temu wydał... procenta ani razu niezapłacone...

Niebawem przyleciało z pośpiechem, a trzęsieniem się wielkim, kilku żydków z okolic Przyborowa. Jeden z nich był rzeźnikiem, drugi pachciarzem, trzeci miał w pobliżkim miasteczku sklep towarów korzennych, inny jeszcze przedstawił się mnie, jako szklarz miejscowy, a inny, jako handlarz drzewem. Wszyscy oni mieli do Przyborskiego pretensye najróżniejsze. Jeden mu mięsa na kredyt dostarczał, inny od kilku lat szyby w oknach

bez zapłaty wstawiał, ten samego cukru i wina dostarczył mu za rubli kilkaset, a ów drzewa ilość pewną skontraktował, i nigdy już ani drzewa tego, ani zapłaty, z góry za nie uiszczonęj, nie oglądał.

— Niech wielmożny pan nas ratuje! — wołał jednogłośnie ludek ten, ze strachu i niecierpliwości trzęsący się i pejsy różnobarwne targający; — niech WPan zlituje się nad nami i dobro nasze ratuje! My tylko zanadto grzeczni byli, dawali i czekali. Ale teraz zrobiło się gadanie wielkie o tém, że on bankrut! a kiedy wszyscy kredytorzy ruszyli się, dlaczego my mamy cicho siedzieć! My wielki strach mamy, żeby nasze nie zginęło, i przylecieliśmy tu do pana..

Było to istne obłędzenie. Przez czas jakiś gabinet mój napelniał się codziennie ludźmi najróżnorodniejszych stanów i wygladań, którzy wszyscy przybywali do mnie z nazwiskiem Przyborskiego na ustach, z dokumentami różnych dat i wartości w ręku. Nie sami tylko byli tam mężczyźni. Przychodziły też i kobiety, żony drobnych posiadaczy ziemskich i wdowy po rzemieślnikach, ekonomowe, młynarki, mieszczki i wieśniaczki. Niektórym z wierzycieli tych obu płci Przyborski winien był sumy znaczne, ale byli i tacy, którzy na kartkach, ręką jego skreślonych, posiadali cyfry nadzwyczaj drobne. Widoczném było, że gdy szło o zaciąganie długów, możny niegdyś obywatel nie zwykł był gardzić nikim i niczém; im więcej zaś rozpatrywałem się w téj, iście mozaikowéj, różnaitości cyfr i twarzy ludzkich, tém więcej się zdumiewać musiałem nad olbrzymim talentem człowieka tego, który umiał wyszperać pieniądze tam, gdzie-by się ich nikt inny domyślać nawet nie mógł, a potem, z równą przenikliwością téj zręcznością, ściągnąć je, w zamian za świstek papieru, do swéj kieszeni.

Przy takim stanie rzeczy, sprzedaż majątku, obarczonego tyłu długami, wydała się tak mnie, jak ludziom, którzy interesa w ręce moje składali, rzeczą niemal nieuniknioną. Że jednak z powodu pewnych okoliczności ogólnych, wystawienie na sprzedaż publiczną jakiegokolwiek kawałka ziemi było zadaniem wielce ciernistém i przed którego rozpoczęciem, długo zastanawiać się trzeba było; postanowiłem uczynić wszelkie możliwe kroki, ostateczności téj zapobiedz mogące, a mianowicie: rozmówić się osobiście z Przyborskim, przedstawić mu istotne położenie interesów jego i wy badać, czy w położeniu tém nie dałoby się jeszcze znaleźć jakichś mniej srogich środków ratunku. W tym-to celu, naglony o pośpiech przez zatrwożonych i zniecierpliwionych wierzycieli, udałem się do Przyborza.

W dużym, pięknym bardzo niegdyś, murowanym domu, stanowiącym centrum obszernego dworu, powitała mię zrazu sama tylko pani Przyborska, matka dziedzica.

Znalazłem ją, siedzącą na obszernym i ocienionym ganku domu, z książką w ręce. Była to kobieta około pięćdziesięcio-letnia, wysoka, szczupła, ze ściąglą, bladą twarzą, która musiała być kiedyś bardzo piękną. W postaci jéj i ruchach było wiele powag i wdzięku, spojrzenia miała łagodne, a uśmiech smutny nieco. Na lekko siwiejących włosach jéj spoczywała, malowniczo ułożona, leciuchna koronka; postać całą opływały zwoje czarnego jedwabiu. Powitała mię z poważną uprzejmością, a wskazując mi fotel, stojący w pobliżu kanapki, na której siedziała sama rzekła, iż syn jéj wyjechał w sąsiedztwo, ale wnet wróci, tymczasem zaś zechcę może przyjąć szklankę limoniady lub oranżady, bo upał jest tak duszący, że nawet na tym ocienionym ganku zaledwie oddychać można.

Mówiła to wszystko powoli, ze swym smętnym uśmiechom na cienkich, bladawych wargach, głosem pieszczonym i znużonym. Mówiąc, poruszyła srebrny dzwonek, przy niéj na stoliczku umieszczony. W drzwiach domu zjawił się wnet lokaj, bardzo wykwinntnej powierzchowności.

— Oranżady! — wymówiła lakonicznie pani domu, i zwróciła się znowu do mnie z pytaniem, czy mam jakiś, stale określony, cel w zwiedzaniu téj smutnej, pustej okolicy, czy też podróż moja jest tylko *une partie de plaisir, un moyen de se distraire*, w czasie tych nieznośnych, duszących upałów, które na tym ocienionym ganku nawet zaledwie oddychać pozwalają.

— Młodzi ludzie — mówiła dalej, — młodzi ludzie lubili niekiedy takie podróże *à la recherche de l'inconnu*; szkoda tylko, że u końca wszelkich podróży tego życia znajdujemy zwykle to, co spotkało nas u ich początku: zawody, rozczarowania, smutną prozę życia.

W niemalym znalazłem się kłopotcie. Jak tu, wobec tak majestatycznie a melancholijnie zarazem wyglądającej, tak delikatnej i wzniośle nastrojonej damy, rozpocząć trudną, nudną, poziomą rozmowę o interesach? A jednak była to matka człowieka, o którego

losy, i więcej niż o losy, bo o sumienie i honor chodziło, jedyna od lat wielu gospodyni jego domu, najbliższa, zapewne, powiernica trosk i błędów jego. Godziło się pozostawić ją w niewiadomości gróźb, zwieszonych nad nią i dolą jej syna? Możnaż było nie zapytać jej o środki ratunku, nie zaważać rady jej i sądu? Zebrałem się na odwagę, i w sposób bardzo oględny mówić zacząłem, iż celem przybycia mego do Przyborza była chęć pomówienia z panem Przyborskim o interesach, bardzo dla niego ważnych, a nawet... groźnych, że skoro jednak nie znalazłem go w domu, rad jestem, iż mogę naprzód przedstawić szanownej matce jego stan rzeczy, który...

Nie dokończyłem. Pani Przyborska podniosła na twarz moją łagodną, przymglone spojrzenie pięknych jeszcze swych oczu, i powolnym ruchem podnosząc białą dłoń, z nad książki, spoczywającej na jej kolanach, miękki głosem wyrzekła:

— Jestem kobietą! o interesach najmniejszego nie mam wyobrażenia, wolę więc prosić pana, abys był łaskaw poczekać z tem na syna mego, który lada chwila zapewne nadjedzie.

— Przykro mi bardzo, — odrzekłem, — że zmuszony jestem odgrywać wobec państwa rolę przynosiela złych wieści. Konieczność jednak zmusza mię wyznać, że w majątkowym położeniu swém jesteście państwo niebezpiecznie zagrożeni, a w podobnych okolicznościach sądziłem, iż powaga i głos matki, która nie przestaje nigdy być najbliższą przyjaciółką i opiekunką syna swego, mogły-by...

I znowu nie dokończyłem. Pani Przyborska łagodniej jeszcze, niż wprzód, spojrzała na mnie i rzekła:

— Jestem wdową! potrzebuję sama opieki męskiej, i kilka lat temu właśnie, przez zbieg okoliczności, utraciwszy osobisty mój majątek, przybyłam tu, aby schronić się pod skrzydło mego syna. On więc tylko jeden rozstrzygać może o wszystkich tych kwestjach, które leżąc muszą zupełnie po-za obrębem sił i pojęć kobiety... wdowy...

Milczała chwilę, potem znowu uskarżać się zaczęła na upał duszący, który, na tym nawet ocienionym ganku i t. d.

— Jakże szczęśliwi są, — rzekła, uśmiechając się lekko, — mieszkańcy Jowisza!

Zdumiony tem nagle wtargnięciem w rozmowę poważnego wielce imienia starożytnego bożka i niebieskiego planety, milczałem.

— Tam wieczna panuje wiosna, — zauważyła z westchnieniem pani Przyborska.

Nie miałem nic do zarzucenia tej astronomicznej hipotezie; milczałem więc znowu. Po chwili zadumy pani Przyborska zapytała mię, czy słyszałem, lub czytałem cokolwiek o wierze i nauce spirytystów. Z pokorą wyznałem, iż wiadomości moje o tym przedmiocie są wielce ograniczone. Wstrząsnęła głową z żalem i wskazała książkę, którą trzymała na kolanach. Ujrzałem wtedy, iż było to dzieło, noszące tytuł: *Księga duchów (le livre des esprits)*.

— Ludzkość cała powinna-by książkę tę umieć na pamięć, — mówiła zwolna kobieta, i zwracając na mnie wzrok dziwnie tym razem rozgrzany i wyrazisty, mówiła dalej:

— Wielka, wielka szkoda, że świat dzisiejszy, goniąc za materyalnem użyciem i zyskiem, spuszcza z oczu te punkta wysokie i świetliste, z których płyną najwznioślejsze pociechy i nadzieje życia. Gdybyś pan był wtajemniczony w tę wielką naukę, (tu wskazała znowu księgę duchów), przyznał-byś pan niezawodnie, że ktokolwiek marzenia swe i nadzieje umieści tak wysoko, mało dbać musi o to, co go w tej ziemskiej wędrówce spotkać może. Duchy... gwiazdy... podróż duchów po gwiazdach!... tak, podróż, bo, nie wiedząc o tem, przenosimy się wciąż z planety na planetę; tu tracąc doczesną swą formę, tam ją odzyskując... i tak... coraz wyżej... coraz wyżej...

Mówiąc to, podnosiła też wzrok swój coraz wyżej... coraz wyżej... nie mogła przecież podnieść go zbyt wysoko, bo pomiędzy nim a niebieskimi lazury rozpościerał się dach ganku, w ładne rzeźby ustrojony, ale brudny i mocno nadrujnowany. Spotkawszy się z tą prozaiczną i pyłem ziemskim aż nadto skalaną przeszkodą, majestatyczna a melancholijna niewiasta opuściła znowu spojrzenie swe na ten padół ziemski i, chcąc nie chcąc, zatrzymać je musiała na poziomej, za materyalnem zyskiem i użyciem stojącej, człowieczej mej postaci. Że zaś postać ta, niemająca żadnych bliższych stosunków ze spirytualizmem i gwiazdami, pozostawała wciąż milczącą, poruszyła z lekka batystową chusteczką, zdobną w hafty i koronki, i cichym głosem poskarżyła się znowu na upał duszący, od którego ten cienisty ganek nawet osłonić dostatecznie nie może.

Wkrótce przecież ozwał się na dziedzińcu turkot kół; po-przez sztachety ogrodowe bardzo przezrocyste, bo w połowie na ziemi leżące, zobaczyłem pędzący od bramy zgrabny kabriolet, w parę wielkich i cennych, acz mocno chudych, koni zaprzężony, a powożony przez wytwornie ubranego mężczyznę, w którym poznałem od razu pana domu.

Szybkim krokiem Waleryan Przyborski wbiegł na ganek, powitał matkę lekkiem, zbyt lekkiem skinieniem głowy, mnie zaś podał do uścisku obie ręce.

— Poznałem pana od razu, — zawołał, — choć to dobre lat kilka ubiegło, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni... pamiętasz pan... wtedy... u naszego poczciwego kuchmistrza nad kuchmistrzami, Szarla!... Piekielnie dobrze ten Szarl gotuje! pamiętasz pan, jakie nam dał kotlety z jarząbków i *Champagne frappé*... ale prawda, przypominam sobie, żeś pan wtedy do kompanii naszej należeć nie chciał! *Vous avez fait le prude!* hulaliśmy też... co się nazywa!

— Waleryanie! — upomniała z cicha niewiasta w jedwabiach, i ukoronkowaną chustką swą twarz sobie z lekka przysłoniła.

— *Eh bien*, mammo! — zwrócił się ku niej syn. — Cóż złego powiedziałem? Kobieta przecież, w wieku mamy będąca, nie może nie wiedzieć o tém, że są na świecie tacy młodzi ludzie, którzy, jak się zbiorą do kupy, to poszumić trochę lubią! A kobiety to niby święte? Ot tyle tylko, że nie wolno im wszystkiego, jak nam, to i cóż robić? muszą udawać skromnisie! Ale zato co myślą!... gdyby tak w te myśli zajrzeć! ho! ho! Szumi tam lepiej, niż w kieliszku szampana, a jak już przesumi, to wtedy zaczynają się duchy... gwiazdy... lzy... etc!...

Mówiąc to, śmiał się głośno i nieco rubasznie, ale nie wiem, dlaczego wydało mi się, że śmiech ten nie był zupełnie szczerym i wesołym. Dźwięczało w nim coś gorzkiego, coś nawet jadowitego. Pani Przyborska powstała z wolna z kanapki i, szeleszcząc ogromnym trenem jedwabnej swój sukni, majestatycznie przesunęła się przez ganek i znikła w głębi domu. Patrzałem na nią, gdy odchodziła, i nie mogłem nie przyznać, iż kibić jej wysoka, delikatna, koronkami opłynięta, wyglądała bardzo poważnie i wspaniale. Rzekł-byś, iż był to typ nieskazitelnej jak kryształ, słodkiej jak anioł, wykwiutnej, jak najsubtelniejszy kwiat arystokracji — matrony.

Powierzchność Waleryana Przyborskiego wcale inne nosiła cechy. Młodym był jeszcze, nie miał bowiem więcej nad lat trzydzieści parę, ale włosy jego, niegdyś tak gęste, mocno już były przerzedzone nad czołem, zrysowanem parą poprzecznych, dość głębokich zmarszczek. Regularny owal twarzy jego zepsutym był nieco wzdymającą go lekko otyłością, taż sama otyłość zaczynała już widocznie zaokrąglać, tak smukłe niegdyś i doskonałe, kształty jego postaci. Z tém wszystkiem był to jeszcze piękny mężczyzna. Wielkie, piwne, długą rzęsą przymglone, oczy jego, prawdziwe oczy zdobywcy serc kobiecych, miały jeszcze wiele blasku, który wszakże rzucił mu na twarz całą wyraz obojętnego cynizmu i zjadliwego szyderstwa raczej, niż świeżości sił ciała i ducha. W ogólności, syn ten matki-spiirytystki, rozkochanej w gwiazdach i duchach, marzącej o wiecznej wiosnie, panującej na Jowiszu, wyglądał mocno na krańcowego materialistę, z zagubionym do szczętu prawie pierwiastkiem duchowym.

Po odejściu matki, usiadł naprzeciw mnie w postawie kawalersko-niedbałej, a podając mi roztwartą cygarnicę, zapytał:

— Jakież szczęśliwe losy sprowadziły pana w strony nasze?

Przystąpiłem od razu do spraw, będących celem przybycia mego tutaj. Wyjąłem z pugilaresu arkusz papieru, na którym spisałem był nazwiska wierzycieli wraz z cyframi, przedstawiającemu summę ich należności, i spis ten podałem Przyborskiemu, oświadczając, iż otrzymawszy od ludzi tych pełnomocnictwo prawne, czuję się w sumieniu mém obowiązany do udzielenia im porady i pomocy, że jednak, przyjąwszy za zasadę unikać, o ile możliwości, wszelkich wystawiań na publiczną sprzedaż majątków ziemskich, przybyłem tu, dla rozmówienia się osobistego z właścicielem Przyborza, i dla naradzenia się z nim, czyby też nie dało się obmyślić łagodniejszych środków jakichś i kombinacji...

Śluchał mię, przebiegając oczyma podany mu przeze mnie spis nazwisk i cyfr. Zmarszczka, rysująca czoło jego, pogłębiła się nieco, ale postawy swój niedbałej nie zmienił wcale, a z ust nie zniknął mu, cechujący je wciąż, dwuznaczny uśmiech.

— Ha! ha! — zawołał, — zebrali się tedy wszyscy razem i kupą do adwokata i do sądów! No, no! nie mam nic przeciw temu! niech się prawują!

— Jakto? — zapytałem, — przewidujesz więc pan, i gotów jesteś prowadzić z ludźmi tymi procesa? czy nie uznajesz pan słuszności ich żądań?

— Ależ owszem, owszem! przyznaję, najzupełniej przyznaję wszystko, — odparł żywo i śmiejąc się. — Ale, widzi pan, tu nie dość przyznania, trzeba jeszcze i zapłacenia, a ja nie mam czém płacić...

— Może-by pożyczka w banku...

— Phi, — gwizdnął lekko, — Przyborów zastawiony w banku za czasów jeszcze króla *Ćwieczka*... i procenta się tam należą...

— Warto-by więc może pomyśleć o jakiej korzystnej dzierżawie...

— Nie warto. Majątek wyciśnięty jak cytryna. Grunt, panie, od dziesięciu może wiośen nawozu nie widział, łąki cudownie porosły wierzbiną i łożyną.. gdybyś pan widział, tobys się zdumiał i zachwycił.. takie tam piękne potworzyły się altany i klomby, jakby w ogrodzie angielskiego stylu... inwentarza nie mam... ani wołu, ani owcy, ani osła... konie tylko są, ale i te zeszkapiały... I cóż mi za to wszystko dać może posesor? Tyle chyba, ile rocznie potrzeba na cygara dla mnie, a na konfitury i oranżady dla mojej matki!

— Chciój pan jednak zważyć, — rzekłem, — iż nie idzie tu o cygara i oranżady, ale o byt ludzi, z których nie jeden całe mienie swe honorowi pańskiemu powierzył.

Powstał żywo i przeszedł się parę razy po obszernym ganku, z głuchą jakąś niecierpliwością gryząc w białych zębach koniec cygara.

— A no! — rzekł, stając nagle przędą mną, — niech biorą majątek i podzielą się nim, jak sami zechcą...

— Jeżeli majątek znajduje się w stanie takim, o jakim pan mi mówileś, — wtrąciłem, — wartość jego nie sprosta sumie długów.

— A! — zawołał, wzruszając ramionami, — co to, to już do mnie nie należy. Oddam, co mam... nikt nie może dać więcej nad to, co ma...

Mówiąc ostatnie wyrazy, pochwycił dzwonek, stojący na stole, i wstrząsnął nim silnie.

— Obiad podawać! prędzej! — zawołał do zjawiającego się we drzwiach lokaja, — piekielnie głodny jestem, — kończył, zwracając się do mnie, — byłem dziś u Szumskich; pamiętasz pan Szumskich, tych, co to dwie córki mieli... hoże panny, jak sarny... Romansowałem kiedyś z obydwiema... jedna była gęś nad gęśmi, druga kokietka nad kokietkami. Ale one wszystkie takie, te kobiety! Albo gęsi, albo kokietki! Za młodu to konfitury smażą albo balują, i co wąs, to ofiara! Na starość dopiero zaczynają się romanse z panem Bogiem, albo wojaże po gwiazdach! Wiész pan co? jedni tylko Turcy w Europie rozumnym są narodem! Zamykają swoje baby w haremach! one bo na to tylko i potrzebne na świecie, więcej na nic. Posażne panny... no... to jeszcze gatunek przydatny do celów utylitarnych... Ale inne... do haremu!

Stanął we drzwiach domu, i zawołał znowu donośnie:

— Obiad! prędzej!... Jadłem to ja u Szumskich śniadanie, ale tam u nich kuchnia psia, nie ludzka! Zrazy jakieś były twarde, jak podeszew, i kasza donich ze szwedami! Brrr! Czy lubisz pan zrazy *à la Nelson*... tak, jak to je ten wasz Szarl nieoceniony urządza?...

Mówił to wszystko prędko, nie czekając odpowiedzi moich, żywo ruszając się po ganku i mowę przerywając sobie od chwili do chwili śmiechem. W cynicznej nieco mowie tej, w towarzyszącym jój śmiechu, trochę rubasznym, a trochę zjadliwym, w ustawicznej tej, z pozorów tylko niedbałej i wesołej ruchliwości, tkwił przykry a widoczny przymus, było coś głęboko a tajemnie rozjątrzonego i niespokojnego.

— No! — zawołał po chwili, — nie dają obiadu! Kochany mój Marcin postanowił snadź dziś zagłodzić mnie i pana! A może to moja matka nie skończyła jeszcze czytać rozdziału o duchach, albo upinać koronki na głowie! U kobiet bo to tak zawsze! toaleta albo sentymenta, a że tam ktoś głodny albo zły mniejsza o to! Cóż robić? zrezygnujmy się i chodźmy tymczasem do ogrodu!

Milcząc, przypatrywałem się szczególniemu temu okazowi człowieka i bankruta. Zstąpiliśmy z wysokich, a kołyszących się pod stopami naszymi, wschodów ganku, i znaleźliśmy się na osłonecznionej przestrzeni, łączącej dom z długą, cienistą, środkową aleją ogrodu.

— Czytam na twarzy pana zdziwienie, — mówił gospodarz domu, idąc obok mnie i patrząc mi w twarz swemi przenikliwymi, zimno polyskującymi oczyma, — sądziłeś pan

zapewne, że perspektywa doszczętniej utraty majątku przestraszy mię, i bladość na lica, a lzy mi do oczu sprowadzi. Widzisz mię pan tymczasem wesołym i niedbającym o nic. Nie sądz pan przeto, abym pogardzał nędzną mamoną. Przeciwnie, uważam ją może za jedną na świecie rzecz, szacunku godną. Tylko, widzi pan, kto żyje, jak ja żyłem, przygotowanym być musi na wszystkie przypadłości losu. Od kilku lat czuję się w Przyborzu gościem tylko, i miałem już dość czasu, aby pożegnać się w duchu z tęp „rozkosznym ustroniem wiejskim”, jak je nazywa moja matka!

Milczał chwilę, potem mówił dalej:

— Zresztą, licha warto takie życie, jak to, które tu od kilku lat już prowadzę. Nudy i kłopoty, a czasem... nie uwierzysz pan może temu... ale czasem i głód nawet bywał! Ja mam już taką naturę, że byle czego nie zjem. Zdarzają się tedy wypadki, że jak na kredyt połędwicy nie dostanę, to matka na obiad konfitury ję, a ja cygaro palę... A ujadaj się wciąż z kredytorami, proś, albo kłóć się o to, żeby czekali, a wytrapiaj po okolicy nową coraz zwierzynę z pieniędzmi; po wytropieniu umizgaj się do niej, żeby przed tobą wnętrzości swego brudnego worka wytrzęsła... Ph! dyable życie! lepij, że się to już wszystko raz skończy!

Pod chłodnym cieniem lipowych gałęzi znalazłszy się, zdjął kapelusz o szerokich brzegach, który włożył był na głowę, zstępując z ganku. Odsłonił tym sposobem czoło jego ukazało mi się dziwnie zmienionem. Jak wśród zmiętej w dłoni karty papieru, rysowało się teraz na niem zmarszczek mnóstwo, mniejszych i większych, w różne strony pokrzyżowanych. W zmarszczkach tych wyczytać można było długie, długie szeregi trosk i wstrętów, następujących po chwilach szalów i upojeń, poziomych zabiegów i niższych jeszcze wyrzeczeń się, wewnętrznych targań się i burz jałowych, lecz dolegliwych. Przykry to był widok, tęp przykrzejszy, iż z kształtnych warg młodego człowieka, ocienionych ciemnym, wykwintnie ułożonym wąsikiem, nie znikł ani na chwilę właściwy im uśmiech, pusty nieco, więcj jeszcze szyderski i wyzywający. Z uśmiechem tym na ustach, a czołem zbrudzonem, jak mętna i niespokojna fala, szedł on, chwilę, milcząc i ładną laseczką objając liście z gałęzi lipowych, giestem niedbałym, prawie swawolnym... Potem zaczął znowu:

— Tak to idzie sobie to życie! Ja się tam znowu na swoje skarżyć nie mogę. Co użyło się, to użyło; co wypilo, to wypilo, i co nakochało, to nakochało. *Wein, Weib und Gesang*, trzy kapitalne na świecie rzeczy! Powiedział to nawet wcale ładnym wierszem wielki Szyller... Ziemia okrągła jest i toczy się około słońca, a ludzie z nią, to na wierzchu, to pod spodem, mówi pocziwy Żminda...

— Żminda! — zawołałem, — czy wiesz pan, gdzie on się teraz znajduje? Słyszałem kiedyś, że zamieszkał u pana...

— No, to go pan masz we własnej osobie, — zaśmiał się mój towarzysz, i ręką wskazał mi człowieka, który, stojąc w cieniu owocowego drzewa, nadzwyczaj starannie i z wielkim trudem, szeroko wyrosłe i w dół opadające gałęzie grubemi i ciężkiemi drągami podpierał. Od pierwszego rzutu oka poznałem dawnego znajomego i zbliżyłem się do niego szybko.

— Jak się pan masz, panie Żmindo! — rzekłem, podając mu rękę.

Podniósł głowę i wpatrzył się we mnie oczyma, które bardziej jeszcze mgliste i nieruchome były, niż dawniej.

— Przepraszam, — wymówił z cicha, uchylając czapki, — nie wiem, czy mam honor...

Powiedziałem mu nazwisko moje. Twarz jego, blada i nabrzękła, ujęta w ramę wąskiego, mocno siwiejącego zarostu, rozjaśniła się radością.

— Pan Guccio! — zawołał, — przepraszam! pan August Rolicki!

Rękę swą dużą, grubą, zczerniałą od skwarów i pracy, a trzęsącą się mocno, położył na mojej dłoni, i dość długo patrzył mi w twarz, z widocznym wysileniem wzroku i pamięci.

— Pamiętam... — zawołał, — pamiętam teraz doskonale... pan dobrodziej podobny bardzo do nieboszczyka ojca swego, świeć panie nad jego duszą. Zaczny to był obywatel i popularny. Ot, i nie poznałem pana... wzrok mi trochę tępieje... choć dobrze jeszcze widzę... dobrze...

Patrząc wciąż na mnie, a obu dłońmi przytrzymując drąg, którym gałąź podpierał, rzekł po chwili:

— A pamięta pan dobrodziej naszą drogą pocztę?

Szeroki uśmiech roztworzył wargi jego grube a blade, lecz wnet zniknął. Nieruchome i mgliste oczy jego zamigotały, zaledwie widzialnie trzęsąca się głowa zatrzęsa się silnie i nerwowo.

— Skasowali, — ciągnął, — pan dobrodziej wie o tém, że skasowali. Nową drogę... kolej gdzieś tam zbudowali... poczta już im była niepotrzebna... I ja niepotrzebny byłem... z etatu spadłem... stacją dziedzić na oficynę przerobił... cóż było robić? poszedłem w świat! do pana Przyborskiego na służbę...

— Jesteś pan, jak widzę, ogrodnikiem? — wtrąciłem. — Zawsze lubiłeś pan drzewa i kwiaty, i uprawiać je umiałeś.

Twarz Żminda, która przed chwilą powlokła się była wyrazem nieruchomego, stoickiego jakby smutku i zniechęcia, rozjaśniła się znowu.

— Co to, to już mogę przyznać sobie, — rzekł, prostając się, jak niegdyś, z oznaką pewnej, silnie uczuwaną, godności własnej, — na ogrodzie znam się, i chleba darmo nie jem... Ot, może panowie będą łaskawi zobaczą moją robotę... dwa lata tu jestem dopiero, a mogę powiedzieć, że coś już zrobiłem... Niech panowie będą łaskawi pójdą ze mną i zobaczą, co zrobiłem...

— Dziwny stary — szepnął mi Przyborski — pójdźmy do domu, bo jeść chce się piekielnie!

— Przepraszam pana — odparłem również cicho — Żminda jest moim bardzo dawnym znajomym i nie mogę odmówić mu tego, co, jak się zdaje, sprawi mu wielką przyjemność.

— Służę, służę panu! — wyrzekł grzecznie pan domu, ale niedbały i szyderski uśmiešek, ustom jego właściwy, wyraźniejszym stał się, niż zwykle.

Żminda szedł przed nami, szerokim swym i ciężkim, cięższym jeszcze, niż dawniej, krokiem. Gdy wyszedł z cieniu drzew, spostrzegłem, iż miał na sobie mundur urzędnika pocztowego, stary już bardzo, wynoszony, poplamiony, ale z guzami bardzo starannie snadz czyszczonemi i złocisto na słońcu błyszczącemi. U czapki jego wklęsłej i zszarzałej polyskiwała też słabo srebrna gwiazdka urzędnicza.

— Wyobraź pan sobie — śmiejąc się zcicha, rzekł do mnie Przyborski — że starego tego nie widziałem w ubraniu inném, jak w tym mundurze. Ma on ich dwa. Jeden na codzień, drugi od święta, i nie wkłada na siebie nic innego, ani w zimie, ani w lecie. Sądzę, iż ubranie to musi mu przypominać czasy zgasłej świetności. Tak mija chwała świata tego — dodał patetycznie.

Żminda zatrzymał się pośrodku wązkiej alejki, starannie wygracowanej i z obu stron osadzonej pysznemi w istocie krzakami malin i porzeczek.

— O! — szerokim giestem wskazując uliczkę i krzewy, rzekł — ot to moja pierwsza robota. Kiedy przyszedłem tu, w alei trawa rosła po kolana wysoka, a maliny i porzeczki zdziczały... a teraz, panie dobrodziej, czysto, pięknie, wygracowane, okopane i z tych ot krzaków zdjęto w tym roku więcej niż dwadzieścia garncy malin i z dziesięć wielkich koszy porzeczek. Maliny wielkie jakby wiśnie, a porzeczki choć na królewski stół podawać. O!

Poszedł dalej i przyprowadził nas do gęstwiny młodziutkich drzewek, systematycznie na zagonach posadzanych, doskonale w istocie kształtnych i gładkich.

— To moja szkółka — zaczął — zasadziłem ją zaraz z pierwszej wiosny, jak tylko się tu dostałem. W ogrodzie, panie dobrodziej, drzewa stare... rychło rodzić przestaną... młodych natomiast trzeba będzie... a tu grunt nieużyteczny leżał... cielęta ekonomiczne na nim się pasły... więc ja sobie, od cieląt tym oto płotkiem odgrodziwszy się, marsz w sąsiedztwo... tu i ówdzie... szczepek od ludzi uzbierałem, tu je przydźwigałem i zasadziłem... gatunki różne będą...

Mówił to wszystko powoli, z widoczniejszą jeszcze niż dawniej trudnością znajdując i dobierając wyrazy, ale chodził pomiędzy drzewkami prędko, coraz prędziej, a przy każdym z nich niemal zatrzymując się, wskazywał nam je palcem, nazwisko jego i gatunek wymieniając.

— A teraz panowie będą łaskawi na kwiaty może spojrzą. Kwiaty, to piękna także rzecz. Zjeść ani sprzedać ich nie można, ale patrzeć na nie miło...

Pochylony ku ziemi, przechodził od krzaku do krzaku i, pokazując nam z kolei najpiękniejsze okazy kwiatów swoich, trzęsącemi się dłońmi rozgarniał troskliwie zielony gęszcz, tu i ówdzie wyrывał zabłąkaną jakąś niepotrzebną trawę.

Obszedłszy dokoła kilka wielkich klombów, wyprostował się nakoniec. Gorący blask słońca padał mu prosto na twarz i uwydatniał mnóstwo zmarszczek, krzyżujących się na żółtawej, nabrzmiałej jego twarzy, wkoło warg grubych i bladych. Szybkie chodzenie i długie nachylenie się pod słonecznym skwarom zmęczyło go snadź bardzo, bo kropłisty pot spływał mu po ciemnym ogorzałym czole, głowa jego trzęsa się widoczniej niż wprzód, a powieki, mrużąc się przed słońcem, przykrywały błękitne źrenice, na-pół senne, na-pół zadowoleniem jaśniejące.

— Bóg łaskaw — wymówił powoli, obie ręce wspierając na chropowatym kołku jakimś, z ziemi podjętym; — Bóg łaskaw — powtórzył. — Odebrano mi pracę jedną, dostałem inną. Wypędzono mię z gniazda mego, w którym dwadzieścia pięć lat przebyłem... znalazłem sobie przytulisko inne.

Wskazał ręką na małą bardzo, szarą budowlą jakąś, dającą się widzieć wśród zieleni i ciągnął dalej:

— Ot widzi pan dobrodziej, to mój domek ogrodniczy. Jedna izdebka i jedno okienko. Ale dosyć tego dla mnie, dosyć. Da Bóg, że już tu i życie moje skończę...

— Nie potrzebnie tylko zamęczasz się tak pracą, panie Żminda — niedbale wymówił Przyborski. — Wszak ja nie wymagam...

Żminda wyprostował się znowu, we właściwy sobie, pełen godności, sposób.

— Obowiązkiem moim — rzekł z powagą — obowiązkiem moim, panie dobrodzieju, jest pracować z całej siły dla pańskiego dobra! A jakże? Gdybym nie pracował na chleb pański, kradł-bym.

— Bieda tylko — dodał, spoglądając na ręce swe, o kij sękaty wsparte, bieda tylko, że mi się jakoś ręce trochę trząść zaczynają... To ten mak, com się go za dziecinnych lat moich tyle napił i najadł... ten mak niezawodnie robi mi to trzęsienie się rąk i ten szum w uszach... Ale to nic... pracować jeszcze mogę... o! mogę! i dużo tu jeszcze do zrobienia jest w ogrodzie pańskim... Za jakich lat trzy albo pięć, zobaczą dopiero panowie dobrodzieje, jak ja to pięknie wyhoduję i wycackam...

Mówiąc tak, potoczył wzrokiem dokoła, po drożkach i alejach, po klombach kwiatowych i drzewach owocowych i powtórzył znowu:

— Bóg łaskaw pozwoli może, iż tu już przynajmniej życia mego dokończę!

W tej chwili u końca alei ukazał się idący ku nam śpiesznie lokaj z serwetą w ręku.

— *E viva!* — zawołał Przyborski. — Obiad nam oznajmuj! Śpieszmy!

Skinął głową ku Żmindzie na znak pożegnania; ja uściśnięciem mu obie ręce, które, drżące i skwarem a pracą rozpalone, silnie jednak objęły na chwilę me dłonie.

— Dobrze to były czasy! — szepnął raz jeszcze, wlepiając we mnie migocące swe źrenice — dobre dawne czasy! — powtórzył. — Pamiętasz pan, jakem państwu trzy razy na tydzień regularnie listy i gazety przynosił? Dawne czasy!

Śpiesznym krokiem ku domowi i obiadowi zmierzając, Przyborski rzekł do mnie:

— Wiész pan zapewne o tém, że miałem na sumieniu grzeszki jakieś, przeciw staremu temu kiedyś popełnione. Prawdę mówiąc, nic to tam nie było wielkiego. Żonkę miał młodą, ładną i wietrznicę, jakich mało. Wpadła mi w oko i jakoś tak niechcący pożyczyłem ją sobie u niego. Myślałem, że po jakimś czasie skarb ten zwrócę mu z dodatkiem czegoś brzęczącego. Ale pokazało się, że skarb wracać nie chciał do swego prawego właściciela. Szalała za mną kobiecina i desperowała, jakem ją w świat wyprawiał. No, ale cóżem miał innego zrobić z tym fantem? Kiedy jednak Żminda miejsce stracił i przytulku nigdzie nie miał, pożałowałem go, przeprosiłem i do siebie zabrałem.

— Czy Żminda nie lokował wypadkiem u pana kapitaliku swego? — zapytałem.

Uśmiechające się wciąż, usta jego drgnęły lekko pod wpływem przykrego jakiegoś uczucia. Niedbale jednak ramionami wzruszywszy, odpowiedział:

— Jaki tam kapitalik! Przez całe życie swoje uciulał stary nędzne pięćset rubli. Wartoż to było pracować i oszczędzać?

— W każdym jednak razie, owoc ten pracy i oszczędności całego życia jego znajduje się obecnie w ręku pana?

— W moich ręku — zaśmiał się pan Przyborski. — Zapytaj pan raczej czterech wiatrów, co to z nim się stało?

— Wiatrów pytać nie będę, ale nazwisko Żmindy umieszczę na spisie wierzycieli pańskich — rzekłem.

— Umieszczaj pan na spisie swoim, kogo tylko chcesz. Brałem pieniądze, bom miał majątek, który za grzechy moje mógł odpowiadać. Niech go więc sobie biorą teraz i dzielą się nim, jak chcą. Ja nikomu kręcić i nikogo oszukiwać nie myślę i nie myślałem nigdy.

Ostatnie wyrazy wymówił z pewnym uczuciem dumy i obrazy. Tym razem nie mogłem wątpić o szczerości słów jego. W istocie, oszustwo umyślne nie musiało wchodzić w skład charakteru ani planów jego. Tych ostatnich zresztą, czy to w dobrém, czy w złém znaczeniu, nie było zapewne w głowie jego i życiu całym ani śladu.

Rzadko bardzo w mém życiu zasiadałem do obiadowego stołu z taką niechęcią, jak dnia tego, Pani Przyborska na szeleszczących falach jedwabiu przypląnęła ku stołowi i, powiewając ukoronowaną, woniejącą chusteczką, poskarżyła się zaraz na ten duszący upał, który nawet w chłodnych i ocienionych pokojach oddychać zaledwie pozwala.

Potém zaczęła bawić mię powoli, łagodnie i nadzwyczaj wytwornym stylem wypowiedzianymi komunałami wszelkiego rodzaju. Widocznie rybka jakaś nieogłędna dała się jeszcze niedawnymi czasy ułowić na wędkę pana domu, bo obiad był wyborny, niezbyt długi, ale z doborowych potraw złożony, a winem i wetami ubogacony. Pani Przyborska nic prawie nie jadła, piła tylko wciąż limoniadę i oranżadę i zaledwie dotknęła lekkiej jakiejś jarzynki i słodkiego blamanżu. Syn jęj za to jadł za nią, za siebie i za mnie. Nie był jednak żarłokiem, tylko smakoszem wytwornym i wytrawnym, lubującym się samym procesem jedzenia i znającym się wybornie na wszelkich odcieniach kulinarnej sztuki. Przez cały czas zasiadania u stołu o niczym więcej nie mówił, jak o względnej wartości różnych potraw i najrozmaitszych sposobach ich przyrządzania.

O ile tylko przyzwoitość pozwalała, najprędzej po obiedzie zabrałem się do wyjazdu. Przyborski nie zatrzymywał mnie wcale. Uważał mię słusznie za gościa całkiem oficjalnego i okolicznościowego, byłem dla niego zresztą zapewne zbyt nudnym i żenującym towarzyszem. Przeprowadzając mię do przedpokoju i uprzejmie bardzo podając mi rękę na pożegnanie, rzekł:

— Zmiłuj się pan tylko, jeżeli już będziesz mię likwidował, czynń to co najprędzej. Chciał-bym bardzo całą tę nudną historią mieć już za sobą, nie przed sobą.

— Ale cóż pan zamierzasz uczynić z sobą po sprzedaży Przyborza? dokąd się pan udasz? — zapytałem, bo zdumiewała mię wspaniała obojętność, z jaką człowiek, nieumiejący prawdopodobnie zapracować sobie na kawałek suchego chleba, a rozlubowany w pasztetach, mówił i myślał o doszczętniej utracie swęj fortuny.

— O! nie jestem bynajmniej w kłopotcie z osobą moją — odpowiedział mi, śmiejąc się. — I owszem, razem z Przyborzem spadnie tylko z méj głowy ciężar nudy i kłopotów. Matka moja ma w gubernii W., o jakich ośmdziesiąt mil ztąd mieszkającą, starszą siostrę. Kobieta to bezdzietna, wdowa, ma milionowy majątek, a przepada za mną... wiesz pan, szalone mam szczęście do kobiet... nawet do ciotek. Pojedziemy do nięj oboje z matką...

— Może téż — rzekłem — ciotka pańska, będąc tak bogatą, zechce zapobiedz sprzedaży majątku pańskiego, która, jak pan wiesz, w obecnych okolicznościach większe i gorsze niż kiedykolwiek ma znaczenie? Może-by zgodziła się zaspokoić wierzycieli pańskich?

Wzruszył ramionami.

— Nie — rzekł — jakkolwiek bogata bardzo, ciotka moja ogłędna jest i oszczędna. Nadawała mi już nieraz mnóztwo pieniędzy; ale teraz tak wielkiej sumy od razu wydać nie zechce. Wszystko mi to jedno zresztą, a nawet lepiej. Wolę wyjechać z tych stron — daleko — na nowym świecie pokazać się i nowy świat zobaczyć. Okolicę tutejszą spenetrowałem *à fond* i ona mię także spenetrowała. Ludzie mię tu uważają za człowieka moralnie upadłego, a ja ich uważam za nudziarzy. Choćby najlepsza jednostajność przykrzyć się musi. *Toujours des perdris!*

Ostatnie wyrazy wymówił już na ganku, poczem pożegnał mię uprzejmym uśmiechem i ukłonem pełnym wdzięku i, z zapaloném cygarem w ręce, nucąc z cicha, zniknął w głębi domu.

Przyborski mówił prawdę. Majątek jego znajdował się w stanie oplakany. Sprzedać go z wolnej ręki było niepodobieństwem prawie; suma zaś, mogąca być otrzymaną dro-

gą publicznej sprzedaży, wyrównywała połowie zaledwie ogólnej sumy długów. Wkrótce widoczną stało się rzeczą, iż po odbytych akcie likwidacji, smutne resztki, pozostać mające, po opłaceniu należności rządowych i bankowych, posiadających zawsze bezwzględne pierwszeństwo przed należnościami prywatnymi, podpaść musiały konkursowi, czyli współzawodnictwu się o udział w nich, prywatnych wierzycieli. Proceder ten prawny, przykry zawsze i uciążliwy dla tych, którzy szukać w nim muszą ostatniego sposobu ratowania od zaguby dobra swego, tym razem przykrzejszym jeszcze był i obfitszym w oplakane skutki, z powodu znacznej ilości osób miernego albo i malutkiego wcale funduszu, które do liczby wierzycieli Przyborskiego należały. I jak najczęściej zdarza się w wypadkach podobnych, najmajętniejsi i, co zatem idzie, najoświecieńsi wierzyciele posiadali tu dokumenta najogólniej sporządzone i najlepiej uprawnione, więc znowu mające pierwszeństwo przed leciuchnemi wobec prawa świstkami papierów, będących w posiadaniu najuboższych, najpokorniejszych i najufniejszych. Z góry już i po najpobieżniejszym zestawieniu dokumentów, cyfr i artykułów prawa, obliczyć można było, że najuprzywilejowani zadowolnić się będą musieli cyfrą, wynoszącą 40 albo i 30 procent sum przez nich wypożyczonych; owi zaś wcale nieuprzywilejowani, maluczcy, cisi i ufni, spadną do okrągłego zera.

Pewnego dnia, po odbytej pod prezydencją moją burzliwej i płacziwej naradzie wierzycieli, zaledwie zostałem sam jeden w gabinecie moim i ochłonać zdołałem z przykrych wzruszeń, sprawionych mi łzami, wyrzekaniami, kłótniami i złorzeczeniami ludzi pokrzywdzonych i z prawowitego mienia swego obdartych, gdy oznajmiono mi, że znowu człowiek jakiś życzy sobie widzieć się ze mną.

Po chwili ujrzałem wchodzącego i na progu pokoju nieśmiało zatrzymującego się starca, barczystej i ciężkiej budowy ciała, z wielką głową, okrytą mocno siwiejącymi włosami, z wązkim, białym prawie, zarostem, otaczającym żółte, nabrzmiałe policzki. U wyszarzanego lecz bardzo czystego odzienia jego błysnęło mi przed oczyma kilka złocistych guzików — poznałem Piotra Żmindę.

Śpiesznie postąpiłem na spotkanie starca i, uściskawszy jego rękę, posadziłem go na wygodnym fotelu. Oddał mi zwykły sobie, powolny i poważny, ukłon, drżąca ręka jego silnie objęła na chwilę dłoń moją, źrenice jego błękitne, zawsze przymglone, na-pół senne, tonęły uporczywie w mój twarz, ale nie wyrzekł z razu ani słowa. Poruszył wprawdzie ustami, jak człowiek, który chce coś powiedzieć, ale nie powiedział nic. Wydawał się zmieszany, jakby bardziej przygnębiony i smutnym. Nie wiem, czy był to skutek innego, niż przed kilku miesiącami, otoczenia, w jakim go ujrzałem, czy w ogrodzie Przyborskiego upalne słońce i świeża zieleń drzew korzystnie oświetlały steraną tę postać, niż białe, monotonne światło dnia zimowego, w którym nurzał się mój gabinet; ale Piotr Żminda wydał mi się przez czas ten krótki mocno zmienionym. Starcem wydawał się już wtedy, ale dość silnym jeszcze, spokojnym na umyśle, przytomnym, do pracy, pomimo lekkiego drżenia rąk, zdolnym. Teraz ogarniać go już wyraźnie zaczynała zgrzybiałość. Nietylko ręce, ale i głowa jego poruszała się ustawicznym drżeniem, a usta na-pół otwarte, i nieruchome, senne źrenice oblekały mu twarz wyrazem idiotycznego niemal osłupienia.

Patrzył na mnie długo, uporczywie, a pierwszymi słowami, które wymówił, było pytanie:

— Czy pamięta pan dobrodziej naszą drogę pocztową? Dawne czasy!

Widok mój przywoływał mu snadź zawsze przed wyobraźnią najlepsze, najdroższe, niezapomniane nigdy, wspomnienia przeszłości.

Westchnął, głowa zatrzęsała się mu silniej i widocznie, potem powoli bardzo i z wielką trudnością mówić zaczął:

— Ja do pana dobrodziejstwa przyjechałem z prośbą... po dawniej znajomości... Pan dobrodziej wie pewno o tym, że panu Przyborskiemu sprzedają majątek... za długi podobno... zresztą, nie wiem dlaczego, bo gadanie ludzkiej nie można bardzo wierzyć... dość, że sprzedają, a mnie z ogrodu Przyborskiego wyprawiono precz... oto widzi pan dobrodziej spadłem znowu z etatu...

Coś jakby uśmiech na-pół żalony, na-pół gorzki, przesunął się po ustach jego, gdy wymawiał te ostatnie wyrazy.

— A! — dodał po chwili — co robić? Taka już widać wola Pana Boga nade mną! do czego tylko przywiążę się, czy do miejsca, czy do jakiej duszy ludzkiej... zaraz mi precz z oczu idź! Powiem prawdę... przywiązałem się już był do drzew, które pielęgnowałem, do tych szczepków, które sam zasadziłem... pan dobrodziej sam widział, będąc przeszłego lata, jak u mnie wszystko porządnie było i czysto... jakie balsaminy u mnie kwitły... gdyby róże... Nie to to było, co nasza droga pocztowa... he, he! daleko tam ogrodowi do naszej drogi i do tego ogródka, com go sam koło poczty zasadził i wypielęgnował... ale przywiązałem się i do tego, przywykłem... myślałem, że tam już głowę moję do snu wiecznego położę... ale kiedy nie można, to nie można, trudno!

Spuścił trzęsącą się głowę na piersi, szklisty wzrok utkwiał w przestrzeni i milczał znowu.

Teraz pojąłem wielką zmianę, która zaszła w powierzchowności jego przez krótkie kilka miesięcy. Dotknął go ból nowy, na steraną głowę jego spadło nowe upokorzenie, przed krokami jego otworzyła się nowa ścieżka tułaczki... I tak stopniowo, człowiek ten, jak wosk w ogniu, tajał i znikał w żalosciach życia!

Po chwili ocknął się ze swęj ołowianej, osłupiałej zadumy i, podnosząc wzrok na twarz moję znowu, mówić zaczął:

— Ja do pana dobrodzieja z prośbą... po dawniej znajomości... oto taka jest rzecz. Ulokowałem u pana Przyborskiego mój kapitałik... niewielki... pięćset rubli... gdybym żył u niego, jak żyłem, niech-by tam sobie grosz ten leżał aż do mojej śmierci, a po śmierci może-by go krewni zabrali... ale ponieważ kazano mi wynosić się z Przyborza... muszę sobie szukać przytułku jakiegoś... Chciałem zgodzić się gdzie w innym dworze za ogrodnika, ale nie przyjmują nigdzie... na siwą głowę moję patrzą i na trzęsące się ręce... mówią, że stary, do pracy już niezdolny i nie przyjmują... cóż robić? nie narzucać się gwałtem ludziom! ale oto znalazł się brat przyrodni... z macochy tej urodzony, co to, niech jęć Bóg nie pamięta, makiem poila mię i karmiła, kiedy dzieckiem byłem... brata tego, panie dobrodzieju, ja tak jak nie znałem, bo macocha nie dozwoliła nigdy, abyśmy się z sobą poznali i polubili... ale on przed niedawnymi czasami przyszedł do mnie i powiedział: „Słuchaj Pietrze! panu Przyborskiemu sprzedają majątek za długi. Ciebie ztąd wyprawia, bo stary już jesteś i na służbę się nie zdajesz. Nie będziesz miał znowu przytuliska żadnego. Odbierz grosz swój od Przyborskiego i w naszej chacie rodzicielskiej zamieszkać. My ciebie do śmierci dochowamy w szacunku i wygodach takich, na jakie nas stanie, a ty nam kapitałik swój po śmierci swęj zostawisz. Będziesz miał sam starość spokojną i dzieciom naszym do wyjścia z biedy tej, co nas gniecie, dopomożesz”. Zastanowiłem się ja, panie dobrodzieju, nad propozycją tą i zgodziłem się na to, czego brat chciał. Tylko pieniędzy tych mi trzeba, a tu pan Przyborski, jak go o nie prosiłem, zaczął śmiać się... nie wiem, panie dobrodzieju, nie wiem prawdziwie z czego... i powiedział: „a z kąd ja tobie, poczciwy człeku, pieniędzy wezmę? Idź do tego adwokata, co mi majątek sprzedaje, i poproś go, żeby ci oddał, co należy!” Ludzie mi powiedzieli, że ten adwokat, to pan... więc przyjechałem i oto proszę pana dobrodzieja... po dawniej znajomości...

Umilkł, a ja przez długą chwilę nie mogłem zdobyć się na odpowiedź żadną. Biedak! stary, samotny, okradziony biedak! myślałem.

— Czy masz pan dokument jaki? oblig, wexel?.. — zacząłem.

— A jakże, panie dobrodzieju — przerwał spiesznie — a jakże! mam kartkę... własną ręką jego napisaną...

Z wewnętrzną obawą, lecz i z trochę nadziei jeszcze, sięgnąłem po świstek papieru, który Żminda podawał mi trzęsącą się ręką. Niestety! dość mi było jednego rzutu oka, aby poznać całą nicość prawną osobliwego tego dokumentu. — Była to zwierzchnia połowa ćwiartki listowego papieru, nadzwyczaj eleganckiego, ze złoconemi brzegami, z wylitografowaną u góry cyfrą Przyborskiego i umieszczoną nad nią, bardzo misternie przyozdobioną, koroną szlachecką. Na połyskującym, welinowym tle szpargałka, znajdowało się kilka wyrazów niewyraźnie nabazgranych a zakończonych podpisem jeszcze niewyraźniejszym, parą jednak bardzo wspaniałych zygzaków przyozdobionym. Pośpiech w pisaniu kartki tej był tak wielkim, że nie było na niej daty żadnej.

Trzymając w ręku smutny ten dokument, zapadłem w długie i przykre zamyślenie. Bez wątpienia był to pomiędzy dowodami, posiadanymi przez wierzycieli Przyborskiego, dowód najniebezpieczniejszy i najmniej prawnie sporządzony. Wobec praw i obyczajów, rządzących

postępowaniem konkursowém, musiał on być uważanym za najostateczniejszy z ostatnich. Tam zaś, gdzie najsilniejsze dowody otrzywać miały połowę zaledwie, albo mniej jeszcze praw sobie przynależnych, jakim być mógł udział tego najsłabszego? Naturalnie żaden.

Ale jakże oznajmić miałem starcowi temu wieść tę; druzgocącą ostatnią jego nadzieję, zamykającą przed ostatnimi dniami jego życia jedyną spokojną uchronę, która mu w zamian za to utracone przez niego dobro ofiarowano? Gdyby przykra ta okoliczność zaskoczyła mię była w kilka lat później, otworzył-bym był własny pugilares... a Żmindzie powiedział-bym, że wypłacam mu z funduszków Przymorskiego. Podówczas jednak, postępek taki był dla mnie do wykonania niepodobnym. A! pomyślałem, trzeba jeszcze iść *do nich*, przemówić, spróbować... kto wie? może jeszcze posiadają cokolwiek? może mi uda się z *nich* co wydobyć?

— Czy pobierasz pan emeryturę jaką? — zapytałem jeszcze.

— Nie, panie dobrodzieju, — odpowiedział spokojnie, — roku mi jeszcze do niej niedostawało, gdy straciłem posadę...

Wstałem i, powiedziawszy Żmindzie, że idę na miasto dla rozmówienia się o interesie jego z kim należy, prosiłem go, aby zaczekał na mnie w gabinecie moim.

— Każę tu panu podać śniadanie — rzekłem.

— Dziękuję panu dobrodziejowi, — odpowiedział, kłaniając się ze zwykłą sobie powagą, — przyjechałem z bratem, a on miał ze sobą kawał chleba i séra, tośmy sobie i razem przekąsili... nie jestem głodny.

Dla większego pośpiechu, siadłem na miejską dorożkę i kazałem zawieść siebie do najparadniejszego w mieście naszym hotelu, w którym wiedziałem, że od dwóch tygodni przebywają Przyborscy. Wskazano mi jeden z najcenniejszych numerów hotelowych. Wszedłem.

Składające numer trzy pokoje, dość obszerne i wytwornie umeblowane, znalazłem pogrążone w nieładzie wielkim. Widocznie trafiłem w przedchwilę wyjazdu zamieszkujących je osób. Na posadzce stały i leżały liczne, wypakowane mocno, a już zamknięte kufry i tłomoki. Pośrodku jednego z pokojów stał stół, okryty sutemi resztkami spożywanego przed chwilą śniadania, poręcz krzesel i kanap obwieszane były kobiecemi i męzkami szalami, futrami, torebkami, różnemi, słowem, ubraniami i przyborami podróżnemi.

Pani Przyborska siedziała na kanapie, w zwykłej sobie, majestatycznej postawie, i ze zwykłym też, łagodnym i smętnym nieco, wyrazem twarzy, kończyła składać do ładnego bardzo, podróżnego woreczka, różne, na stole rozrzucone, drobiazgi i graciki. Syn jój siedział jeszcze przed śniadaniową zastawą. Serweta, zawiązana pod ciemną, starannie uczesaną jego bródką, chroniła od wszelkiej plamy i skazy przód eleganckiego podróżnego ubrania, które miał on na sobie; w jednej ręce, o stół wspartej, trzymał szklanę, do połowy jeszcze napełnioną winem, drugie ramię zarzucił na poręcz krzesła i, z twarzą zwróconą ku pogrążonej w układaniu drobiazgów matce, patrzył na nią z cechującym fizyognomią jego wyrazem pogardliwej niedbałości i szyderskiej nieco przekory.

Ujrawszy mię wchodzącego, Przyborski powstał żywo i jedną ręką zdejmując z szyi serwetę, drugą podał mi na powitanie gościem uprzejmym i swobodnym. Pani Przyborska skłoniła ku mnie głowę w sposób poważny, a zarazem bardzo grzeczny, a zwracając na twarz moją łagodne, powłóczyście swe wejrzenie, i wskazując mi ręką fotel, przy kanapie stojący, rzekła miękkim, znużonym głosem:

— Jakąż okropną mamy w tym roku zimę! Mrozy są tak straszne, że w tém ciepłym mieszkaniu nawet zaledwie oddychać pozwalają!

A jednak zdawała się być doskonale zabezpieczoną od przykrych wpływów zimna: długi, aksamitny kaftan, ląbędzim puchem podszyty, a doskonale jednak smukłą kibić jój uwydniający, szerokimi połami obejmował bogate fałdy jedwabnej jój sukni; z pod fałd tych wysuwająca się, drobna jój nóżka, zamknięta była w również aksamitnym buciku, kosztowném futerkiem obłożonym.

— Co tam mroź! — zawołał Przyborski, siadając przy mnie i podając mi cygaro, którego nie przyjąłem. Niema lepszego sposobu rozgrzania się w tęgie mrozy; jak wypicie szklanki czystego, prawdziwego *bordeaux*? Wiész pan co? ten wasz *Szarl* jest zawsze niedorównany i, doprawdy, opuszczając te strony, jego to, zdaje się, najbardziej, a może i jedynie żałuj! Wino daje przepyszne! a kuchnia! Szkoda, żeś pan nie przyszedł o kwadrans wcześniej. *Szarl* dał nam dziś śniadanie pojęgalne, co się zowie! kotlety z jarząb-

ków, potrawa to jego własnego wynalazku. Gdybym był panującym, kazał-bym za nie wybić na cześć jego medal pamiątkowy!

Gdy umilkł, najchłodniej, jak tylko mogłem, oświadczyłem, że przyszedłem dla pomówienia o interesie.

— O interesie! — ze zdumieniem na twarzy powtórzył Przyborski, — czyż ktokolwiek na świecie może mieć jeszcze do mnie jaki interes? Oddałem przecież wszystko, co miałem... cóż więc uczynić mogę?

Nie dając mu bezpośredniej odpowiedzi, wymieniłem nazwisko Żmindy.

— Wielu tu pozostanie ludzi ciężko przez pana pokrzywdzonych, — mówiłem — ale z pomiędzy nich Żminda jest najstarszym, najnieodłączniejszym, najbardziej osamotnionym...

— Ależ przecie, — z giestem niecierpliwości przerwał mi Przyborski, — przecież ma on kartkę, którą mu napisałem, biorąc od niego pieniądze... nie brałem nigdy od nikogo pieniędzy, nie dając w zamian dowodu...

— Kartka pańska, Żmindzie dana, odrzuconą będzie przez konkurs bezwarunkowo... na mocy jęj nie wypłacą mu ani grosza...

Czoło Przyborskiego zmarszczyło się znowu w ten przykry sposób, który na całą fizygnomią jego zdawał się rzucać ponury odbłask źle przeżytej przeszłości. Utkwił wzrok w ziemi i milczał chwilę. Potem, czyniąc obu rękoma giest niecierpliwy, rzekł:

— A więc cóż pan chcesz, abym uczynił? Oddałem wszystko co miałem...

Znaczącem spojrzeniem powiodłem po suto wypakowanych i wykwiłtnymi ozdobami błyszczących tłómkach z angielskiej skóry, po licznych a cennych, na sprzętach wiszących, szalach i futrach. Przyborski zrozumiał myśl moję. Szyderski uśmiech przesunął się mu po ustach.

— Wszystko to — rzekł — jest osobistą własnością mojęj matki.

— W takim razie — odpowiedziałem — nie pozostaje mi nic innego, jak ze słusznym żądaniem mojęm zwrócić się do matki pana.

Usłyszawszy te wyrazy, pani Przyborska oderwała wzrok od gracików, które układała wciąż i przekładała w woreczku swym, i miękkim swym, przyciszonym głosem, wyrzekła:

— Jestem kobietą...

— Pani... wtrąciłem z ukłonem.

— Jestem kobietą, — nie dając sobie przerwać, mówiła dalej, — na interesach nie znam się i nigdy się nimi nie zajmowałam. Raczcie więc panowie nie mieszać mnie do smutnych tych, a niezrozumiałych dla mnie okoliczności.

Czułem się oburzonym i wzburzonym, miarkując jednak o ile możliwości głos mój do prawideł ścisłej grzeczności, rzekłem:

— Przykro mi bardzo, ale zmuszony jestem oświadczyć, iż w interesie klientów moich, urzędowym sposobem sprzeciwię się wyjazdowi ztąd państwa i żądać będę sprawdzenia tytułów własności, odnoszących się do przedmiotów, które tu widzę.

Słowom tym odpowiedział cichy, zjadliwy nieco śmiech Przyborskiego. Ale w twarzy pani Przyborskiej najłżejsza nie zaszła zmiana. Z témże samém, zawsze łagodnym wejrzeniem i smętnym uśmiechem na ustach, jednostajnie, miętko i powoli, odpowiedziała:

— Jestem wdową... potrzebuję więc opieki i obrony, a jakkolwiek na interesach nie znam się wcale, przewidziałam, iż, wśród nieszczęść, które dotknęły syna mego, mogę być także przez nieprzyjaciół jego atakowaną. Uzbroiłam się więc w dowody, które przekonają pana, iż wszystko, co tu pan widzisz, jest osobistą moją własnością.

Powolnym giestem wydobyła z woreczka wielki arkusz papieru, we czworo złożony, i podała mi go leniwym, pełnym wdzięku ruchem. Przebiegłem oczyma zawartość papieru. Było to urzędowo sporządzone poświadczenie tytułów własności pani Przyborskiej do przeróżnych, uwożonych przez nią, przedmiotów, jako to: garderoby, biżuteryi, sreber stołowych i t. d. Co więc, zaświadczenie to było słusznym. Przedmioty te były natury takięj, że musiały w istocie stanowić osobistą jęj własność. Zachodziło tylko pytanie, nic zresztą wspólnego z prawem niemające, czy nie były one nabytymi za pieniądze jęj syna, więc z kolei za te pieniądze, które sposobem pożyczek wyjął on był z kieszeni — zbyt ufnych biedaków!

Po chwili rozmyślania, zwróciłem się znowu do majestatycznęj damy, która, w znużonęj postawie na kanapie siedząc, otulała się w tęg chwili właśnie aksamitno-łabędziem

swém okryciem i z cicha wyrzekać zaczęła na zimno, które w tém ciepłym mieszkaniu nawet zaledwie oddychać pozwala.

— Nie pozostaje mi więc nic innego, — rzekłem — jak zakolatać do serca pani i udać się do niej z prośbą... Człowiek, za którym wstawiać się będę, znanym jój być musi. Jest to starzec bezdzietny i osamotniony... pracował dla państwa przez lat kilka, i nietylko żadnego za to nie otrzymał wynagrodzenia, ale jeszcze w ruinie syna pani zagubił swój fundusik, jedyny sposób utrzymania się przy końcu życia...

Umilkłem i wśród białej, delikatnej, jak listek liliowy, parą zaledwie drobnych zmarszczek zrysowanej, twarzy kobiety, szukałem wrażenia, jakie wywrą na nią słowa moje. Nie wywarły żadnego.

— Jestem kobietą — rzekła — nie wtrącam się wcale do administracji domu mego syna; niewiem, kto i jaką otrzymywał od niego zapłatę... nie zaciągałam nigdy u nikogo pożyczek żadnych...

— Tak — odparłem — wobec prawa też cała ta smutna historia nie obowiązuje pani do niczego. Śmiem mniemać jednak, iż, jako matka, zechcesz pani oszczędzić honorowi syna swego jednej przynajmniej plamy... z sumienia jego zdjąć jeden przynajmniej ciężar...

Mimowoli prawie rzuciłem okiem na pyszną kameę, która, w złoto oprawna, spinała u szyi aksamitne jój okrycie, na kilka pierścionków, które błyskami brylantów i szmaragdów zdobiły białe, podłużne, przezroczyste niemal jój ręce, i dokończyłem:

— Fortuny takie, jak ta, którą posiadaliście państwo, topniejąc nawet i znikając, pozostawiają jeszcze po sobie byłym właścicielom swym resztki, cenniejsze, niż całe nie-naruszone majątki biedaków. Spieniężenie małej części przedmiotów, które znajdują się w posiadaniu pani, wytworzyło-by sumę, mogącą zaspokoić słuszne żądania człowieka, za którym proszę. Człowiek ten pani, to — starzec... nędzarz!

Gdy wymawiałem ostatnie wyrazy, pani Przyborska zasłoniła sobie oczy batystową chusteczką i siedziała chwilę nieruchoma, płacząc niby cicho, niby głęboko rozmyślając. Zaczynałem już mieć dobrą nadzieję i wyznaję, że z rodzajem niecierpliwjéj pożądlivosti spoglądałem na zdobiące jój palce pierścienie, myśląc, iż prawdopodobnie dwa lub trzy z nich tylko sprzedać będzie trzeba, aby wypłacić Żmindzie jego należność. Nagle pani Przyborska twarz odsłoniła. Piękne, błękitne oczy jój mglily się w istocie łzawą wilgocią, po cienkich, blado-różowych ustach wił się uśmiech o zdwojonym smętku. Otworzyła nakoniec usta te, i z dźwiękiem smutnej a cichej rezygnacyi w głosie; wymówiła:

— Jestem wdową.

Zdaje się, że była-by mówiła coś więcej jeszcze, ale przerwał jój głośny i ostro brzmiący wybuch śmiechu jój syna.

— O! — zawołał, śmiejąc się, — jakże piękném jest zadaniem stawać w obronie ucisnionych i nieszczęśliwych! Nie gniewaj się pan na mnie i racz za niewłaściwy żart nie poczytywać tego z méj strony, jeśli ośmielę się panu, jako prawnikowi, powinszować daru wymowy i nieporównanego zapалу, z jakim bronisz pan spraw sobie powierzonych! Doprawdy, ja i pan, przedstawiamy teraz dwóch niby duchów, wydzierających sobie wzajem dusze niewinne a zgnębione! Ja, naturalnie, jestem duchem ciemności, a pan światłości! A! cóż robić! gdybym był tak jak pan od wczesnej młodości méj poznał życie ze strony białej, świetlistej, surowej, byłbym może także duchem światłości! Tymczasem zaś, pan jesteś adwokatem — ja jestem bankrutem. Pan bronisz mienia i honoru ludzi — ja je rujnuję! Stało się! spełniamy każdy na świecie rolę nam możliwą i stoimy na dwóch przeciwległych biegunach świata. Z tém wszystkiém, pozwól pan, abym mu na pożegnanie serdecznie dłoń ucisnął!

Naturalnie, uczyniłem takie poruszenie, które-by dawało do poznania, że propozycyi, zawartéj w ostatnich słowach Przyborskiego, nie słyszę, albo też, słysząc, przyjąć jój nie chcę. Pomimo to, patrzałem mu w twarz baczenie i przyznaję się, że z ciekawością. W istocie, człowiek ten przedstawiał w chwili owéj widok arcy-ciekawy. Śmiał się wprawdzie głośno i na pozór swobodnie; ale w śmiechu tym dźwięczały co chwila nuty jakieś ostre, fałszywe, nieledwie spazmatyczne, a czoło jego było znowu zbrudzone i zmięte w mnóstwo zmarszczek drobnych i przykrych. Nie znałem go nigdy dosyć, abym napewno zawyrokować mógł, do jakiego stopnia natura jego złą była sama przez się, a do jakiego zepsuły ją okoliczności wychowania i otoczenia; nie mógłbym też sądzić i o tém,

czy w porze owęj jakiegokolwiek wpływy zdolne były jeszcze zwrócić go na inną drogę, ku innym myślom i przyzwyczajeniom. To jednak pewnym mi się wydało wtedy i dotąd wydaje, że, wygłaszając swą wpół sarkatyczną, wpół wesołą tiradę, człowiek ten nie czuł się bynajmniej tak swobodnym, jakim okazać się pragnął; że, czyniąc porównanie zadań, które obaj pełniliśmy na świecie, uczuwał zatapiające się mu w serce żądło, jemu samemu może niezrozumiałej zazdrości, że na koniec była to jedna z tych chwil, koniecznych acz najczęściej jałowych, w których najtwardsza, najblotnistsza nawet pierś ludzka, uczuwa w sobie, choćby na mgnienie oka, bolący spazm zatrutego sumienia...

W téjże chwili wszedł hotelowy sługa, oznajmując, iż powóz, mający odwiedzić Jasnych Państwa na stacyą kolei żelaznej, już jest gotowy, i że jechać należy śpiesznie, albowiem pociąg lada chwila nadejdzie. Twarz Przyborskiego rozjaśniła się szybko.

— *Maman*, — rzekł, biorąc z poręczy kanapy pyszne, tumakowe futro kobiece i stojąc z niem przed matką — pora jechać!

Maman podniosła się z kanapy, znużona, poważna, łagodna, i poskarżyła się na ten mróz okropny, który nawet w ogrzonym wagonie zaledwie oddychać pozwoli!

W kilka minut potem, powóz, unoszący tę parę ludzi, wyminął mię na ulicy i śpiesznie posunął ku dworcowi kolei. Patrząc za nim, gdy oddalał się, szalony doświadczyłem ochoty wskazać go napelniającym ulicę ludziom i zawołać: „Złodzieje! łapcie złodziejów!”

Żminda znalazłem siedzącego w gabinecie moim, w téj samej postawie i na tém samym miejscu, na którém go zostawiłem. Nie pamiętam już, jakich dobrałem wyrazów i jakich użyłem ostrożności, aby uwiadomić go o nowym, spadłym nań ciosie. Z razu nie uwierzył słowom moim. Podniósł głowę, spojrział na mnie zdumionemi oczyma i, uśmiechając się, rzekł:

— Pan dobrodziej żartuje! gdzieżby zaś pan taki bogaty, za pozwoleniem, ukraść miał ubogi mój grosik!

Wy tłumaczyłem mu w kilku wyrazach bankructwo Przyborskiego, znaczenie mającego nastąpić konkursu i bezwarunkową nicość posiadanej przez niego kartki. Słuchał, zacerwienionemi powiekami swemi coraz prędzej, coraz nieustanniej mrugał, ręce i głowa trzęsły się mu też coraz silniej i widoczniej, na koniec z dziwnym, nieopisanym usmiechem na białych, zwiedłych wargach, tak cicho, że zaledwie dosłyszalnie, wymówił:

— Tak tedy, panie dobrodziej, ja znowu spadłem z etatu!

W parę minut potem, tym samym głosem, tylko z wyrazem bezgranicznego zdumienia na twarzy, wyrzekł:

— Obywatel!... skończenie świata... obywatel!..

Potem już zapadł na długo w milczenie zupełne. Siedział na fotelu nieruchomy, z przygarbionemi nieco szerokimi barkami, z rękoma, które splecione w zdumieniu, jakby w rozpaczy, trzęsły się mu jednak na kolanach, z drżącą też siwą głową, opadłą na piersi. Siedział tak długo, dwie, trzy może godziny. Niepodobna mi było odgadnąć, o czém myślał, i czy nawet myślał o czémkolwiek; ale, nie znajdując dla niego stosownych słów pociechy, nie chcąc zaś próżnym mówieniem kolatać bardziej jeszcze zmąconą myśl jego, usiadłem z dala przy biurku mojem, i smutny sam, gniewny, rozstrojony, zatopiłem się w pilną jakiejś i pochłaniającej robocie. Nad wieczór dopięro, Żminda podniósł głowę, a zwracając ku mnie twarz, niespodzianie zapytał:

— Czy też pan dobrodziej pamięta moję małą Salusię?

A gdy odpowiedziałem twierdząco, dodał ciszej:

— Ze szkarlatyny umarła!

Milczał jeszcze minut parę, potem, zniżonym, monotonnym głosem i nadzwyczaj powoli, mówił znowu:

— Widzi pan, ja te pieniądze zaczynałem być zbierać na posag dla niej... niemłodym już będąc, myślałem sobie: może mię wkrótce nie stanie na świecie, niech dziecko ma przynajmniej grosz jaki! Ot! ja, żyję, a ję nie stało... Córki niema i... nic niema!

Wymówiwszy ostatnie wyrazy, podniósł się z siedzenia i wziął z krzesła wyszarzaną czapkę swą ze srebrną gwiazdką.

— Trzeba iść, — rzekł, — brat czeka tam na mnie w zajęzdzie... Trzeba mu to powiedzieć... może i tak przyjmie mnie do chaty, a może nie... Wola Bozka!

Kiedy wyciągnął do mnie rękę na pożegnanie, wcisnąłem mu w dłoń asygnatę dość znacznej wartości, z wewnętrzną obawą, że może przyjąć ję nie zechce. Przyjął jednak.

— Dziękuję panu, — rzekł bardzo cicho, oddam to bratu... może mię przyjmie do chaty... a może nie!...

I nie oddał mi już, odchodząc, tego zwykłego mu dawniej poważnego ukłonu, w którym znać było wewnętrzne, choć bezwiedne może, poczucie osobistej godności, w którym człowiek niezgrabny, i z pozoru głupowaty, objawiał się człowiekiem uczciwie pracującym i niczego od nikogo niepotrzebującym. Gdy zęgnął mię i dziękował za dar otrzymany, szerokie plecy jego przygarbiły się, jakby spadło na nie ciężkie jakieś, acz niewidzialne, brzemie; siwa głowa zatrzęsa się silnie, a w szklistych źrenicach zaświeciła i długim wilgotnym szlakiem po policzku mu popłynęła ciężka, mętna łza.

Długo potem, przez lat kilka może, niczego o Żmindzie dowiedzieć się nie mogłem. Ktoś nakoniec, przybyły z rodzinnych stron moich, zapytany przeze mnie o dawnego nadzorcę pocztowej stacji, powiedział mi, że słyszał, jakoby przez lat parę mieszkał on u przyrodniego brata swego, w szlacheckiej okolicy Żmindów, poczem, zdaje się, iż go brat, a szczególnie bratowa i dorastający ich synowie, dłużej u siebie trzymać nie chcieli i z kilku na drogę danemi groszami w świat wyprawili. Być może zresztą, iż postępek ten szlacheckiej rodziny, nieludzki wprawdzie, ubóstwem i przeludnieniem małego zaścianka wytłumaczyć by można było. Gromada w chacie liczna była, a wiadomo powszechnie, że grunta, należące do okolicy Żmindów, szczupłe są i nieżyźne... Coby się jednak ostatecznie stało ze Żmindą, nikt o tém nie wiedział. Tułał się stary przez czas jakiś po dawniej drodze pocztowej, przesiadując tu i ówdzie po dni kilka u różnych litościwych ludzi — potem zniknął... powlókł się kędyś w świat...

Niedawnemi czasy przedsięwziąłem był w prawnych interesach daleką podróż w głąb kraju. Opuściwszy miasto, w którym mieszkam, jechałem wciąż dawną drogą pocztową, lecz zjechałem daleko, o mil kilkadziesiąt od rodzinnego mego miejsca, aż znalazłem się w głębi gubernii W.

Dzień to był zimowy, mroźny. Kochana, stara droga moja, i w tém miejscu także przybrana w dwa rzędy drzew starych i gęsto sadzonych, śnieżysto-białym, szerokim szlakiem biegła wśród równin, w dal niedościgłą okiem, aż pod sam skraj błękitnego nieba, na którym świeciło pogodnie blade słońce zimowe; drzewa, okryte puchem obfitych szronów, stały po obu jej stronach, do nieruchomych opon, utkanych z koronek misternych, podobne, a wśród koronek tych iskrzyły się miliardy brylantów i wielkie stada zimowych ptaków z głośnym krakaniem opuszczały na nie czarne swe skrzydła, i las jakiś, w półkole okrążający widnokraj, ciemniał z dala nieruchomy, po-za białemi, równemi polami, nad którymi legło morze ciszy, żadnym nawet powiewem wiatru niezmacone.

Nagle, wśród ciszy owej, do ucha mego doleciał i z krakaniem zimowego ptactwa w powietrzu połączył się srebrzysty, wesoły odgłos dzwonu. Po chwili nie mogłem wątpić, iż był to dzwon kościelny; jakoż i zobaczyłem niebawem, przy samej prawie drodze, na dość wyniosłym wzgórzu zbudowany, niewielki, lecz śliczny jak cacko, kościółek.

Wkoło kościółka tłum, gwar, ruch był wielki. Droga przed nim napełniona była ludźmi, końmi, saniami. Zgromadzenie to wielkie i ożywione, w miejscu tak samotnym zdziwiło mnie tém bardziej, iż pamiętałem dobrze, że nie był to wcale dzień świąteczny, że zatem żaden zwykły obchód kościelny nie mógł być jego powodem.

Kościółek zaciekawiał mię swą niepospolicie piękną architektoniczną strukturą, przytém i konie moje potrzebowały chwilowego spoczynku. Wsiadłem więc z sań i wmieszałem się w tłum, ruszający się po drodze i wzgórzu.

Drzwi kościoła, wyniesione nad poziom kilkunastu szerokimi, ozdobnemi wschodami, na oścież były otwarte. We wnętrzu widać było, przed wielkim ołtarzem stojące, liczne grono wytwornie ubranych osób, i kilku sług kościelnych, którzy z pośpiechem a starannością wielką, kończyli dokonywanie różnych jakichś przygotowań.

Domyśliłem się nakoniec, iż były to przygotowania do wspaniałego jakiegoś, całą okolicę zaciekawiającego, obrzędu zaślubin.

Z obu stron wschodów kościelnych, od góry ich aż do dołu, ciągnęły się dwa szeregi, zwabionych tu licznym zgromadzeniem, żebraków. Ale na najwyższym stopniu, u samego już progu kruchty kościelnej, do białej, zimnej ściany bokiem i ramieniem przyparty, stał starzec, z białemi, jak mléko włosami, z twarzą żółtą, zgrzybiałą, wązkim, białym zarostem

okoloną. Twarz ta mignęła przede mną, jak niepochwytne widmo dalekiej przeszłości... wkrótce jednak widmo uwyrażniać się zaczęło... zdawało mi się, że je poznaję... Byłże by to Piotr Żminda?

Tak, on był w istocie. Dłoń jego, na znak prośby o jałmużnę otwarta, zczerniała i do piersi przyciśnięta, trzęsła się mocno, trzęsła się też i głowa jego, srebrno połyskująca pod padającym na nią, bladym blaskiem słonecznym. Krwisto zaczerwienione powieki jego na-pół były przymknięte; obwisłe blade wargi szeptały powoli słowa poplątanych pacierzy, a na całej tej wielkiej, żółtej, zgrzybiałej twarzy, spoczywała martwa cisza rezygnacji, czy bezmyślności, bezdennnej zadumy, czy zupełnego snu czucia i myśli. Po chwili spostrzegłem, że miał on na sobie swój dawny mundur urzędnika pocztowego, ale rodzaj ten odzieży ja jeden już chyba tylko rozpoznać mogłem, na plecach bowiem rozpościerała się tam wielka łata siniego koloru, połowę, rękawa zastępowała płócienna szmata, i tylko z boku mdławo świecił zabłąkany guzik, niegdyś złocisty — kto wie? ten sam może, do którego drobną piąstką swą czepiała się niegdyś mała Salusia!...

Chciałem właśnie zbliżyć się do starego nędzarza tego, aby go powitać, gdy odtrąciła mię od niego wielka fala ludzi, w górę, ku wrotom kościelnym, płynąca. Byli to przybawający w tej chwili właśnie państwo młodzi, i wiodący za sobą liczną, strojną, szumną asystencją ślubną.

Ujrzałem naprzód pannę młodą, mocno nieładną, i niezbyt już młodziutką, ale białymi koronkami opłyniętą, sobolowym płaszczem orzuconą, i postępującą w licznym orszaku družek pięknych i strojnych. Za nią, w towarzystwie świetnych panów, z mirtowym bukietem u pętlicy fraka, w niedźwiedziej szubie, z lekka na ramiona narzuconej, wstępował po wschodach pan młody... dawny też znajomy mój... Walery Przyborski. Kilka lat upłynionych niewiele go zmieniły. Utył tylko bardziej, więcej trochę wyłysiał, na ustach miał wyraźniejszy, niż dawniej, zuchwały, sarkastyczny uśmieszek, lecz zawsze jeszcze uchodzić mógł za pięknego mężczyznę. Znalazłszy się pośrodku wschodów, przystanął na chwilę, wydobyl z kieszeni sporą sakiewkę, w której z za przezroczystej tkaniny przeświecały srebrne i złote monety i, rzuciwszy ją przed obsiadających wschody żebraków, wyniośle wyrzekł: „podzielcie się!” Poczém już śmiały, uśmiechniony, głośno z towarzyszami rozmawiający, przestąpił próg kościelny.

Wtedy na wschodach rozległ się wielki chór dziękczynień, błogosławieństw i pochwał; tłumy, zalegające dotąd wzgórze i drogę, wspinać się poczęły w górę, z wyrazem życzliwej ciekawości na twarzach; w kościele pieśnią weselną zahuczały basowe akordy organu, mnóstwo światła zapłonęło u ołtarza, przybranego w kobierce i kwiaty...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/szara-dola>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Z różnych sfer*, tom I, nakład i drul S. Lewentala, Warszawa 1886.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybówie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0654-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).